

9 H

Popularna Biblioteka Historyczna.

*Jadło do sasa, jidło do sasa  
ka krola sasa, jidk i popijaj pasu*

# Za Sasów

SZKOLNICTWO, SĄDY, SEJMY)

według J. Kitowicza



Państwowe Gimnazjum <sup>streszcz.</sup>  
im. kr. ZYGMUNTA AUGUSTA  
w Białymstoku  
J. Kitowski.  
BIBLIOTEKA GIMNAZJALNA  
№ inwent. 2504 № 531  
Dział I #

*22*  
*Białymstok*  
*83*  
*3/7*

Państwowe Gimnazjum  
im. kr. ZYGMUNTA AUGUSTA  
w Białymstoku.

Biblioteka Gimnazjalna

№ *83/317*

Dział *Her*

SKŁADY GŁÓWNE:

Warszawa: Nowy Świat 54.

Łódź: J. Hopecas i A. Salomonowa,  
Szczepańska 9 (na Galicję).

Poznań: M. Niemierkiewicz, Plac Wilhelmo-  
wski 3 (na W. Ks. Poznańskie).

22 81 53



9438.04

94(438).04



S

74

Na wiek XVII i pierwszą połowę XVIII przypada największe w Polsce osłabienie organizmu państwowego i co za tem idzie, upadek moralnych i umysłowych sił narodu. W całym kraju — powiada Kitowicz, najznakomitszy ówczesny pamiętnikarz, pędzono życie na weselości; rzadki dzień był bez gościa, często biesiady z tańcami i pijatyką. Nieład w życiu politycznem panował całkowity; wszystkie sejmy, z wyjątkiem jednego tylko za panowania Augusta III, były zerwane; zjeżdżano się na nie po to jedynie, aby zabawić się w liczne i wesołe towarzystwie, o sprawach zaś politycznych, o potrzebach kraju ogół szlachty nie myślał wcale i nie rozumiał ich zresztą zgoła; pilnie tylko baczyl, aby czasem *liberum veto*, owa «żrenica wolności», nie było w czemkolwiek naruszone. Krajem rządziła oligarchja, powiększająca zamęt i przyczyniająca się do upadku sprawiedliwości w sądach i poczuciu obowiązków obywatelskich wśród szlachty. Również i szkolnictwo, ten niesłychanie ważny czynnik

w życiu każdego narodu, pozostawiało bardzo wiele do życzenia, szkoły bowiem, pozostające w owym czasie, w rękach Jezuitów lub Pijarów i w znacznej części hołdujące za przykładem Akademii krakowskiej średniowiecznemu scholastycyzmowi, pilnie się strzegły odżywczych prądów pedagogicznych, zrodzonych na zachodzie Europy i nie uwzględniały bynajmniej umysłowych wymagań swojego czasu, natomiast poprzestawały tylko na uczeniu przedewszystkiem łaciny z lichego podręcznika ks. Alvára i ćwiczeniu uczniów w retoryce, kładąc nacisk na umiejętność używania zręcznych zwrotów retorycznych, dziwacznych, wyszukanych alegorji i napuszonych, górnolotnych frazesów, świadczących wymownie o zepsutym smaku artystycznym tego czasu.

Niezmiernie ciekawy i bardzo plastyczny obraz szkolnictwa naszego za czasów Augusta III, a więc w przededniu wystąpienia męża niepospolitych zasług, ks. Stanisława Konarskiego, daje nam wspomniany wyżej, ks. Jędrzej Kitowicz, człowiek bez większego wprawdzie wykształcenia, ale obdarzony żywym umysłem, wielką spostrzegawczością i posiadający dar wrodzony bar-

wnego i żywego opowiadania. W pamiętnikach swych objął on całokształt społecznego życia narodu polskiego, w rozmaitych warunkach uwydatnionego, poczynając przedewszystkiem od wychowania domowego, a następnie wizerunku szkół swoich czasów.

Zazwyczaj oddawano wówczas do szkoły dzieci w wieku lat 7-miu. Dla mieszkających po miastach pierwsza szkoła była parafjalna, czyli szkółka niższa przy farze lub katedrze, gdzie rozpoczynano nauki od czytania i pisania; mieszkańcy zaś wsi, gdzie szkoły takiej nie było, musieli wpieryw w domu nauczyć dzieci czytać i pisać, przyjmując w tym celu nauczyciela, jeśli między domownikami nie znalazł się nikt taki, komu możnaby było pierwszą edukację dziecka powierzyć.

W szkole parafjalnej uczono tylko chłopców, dla dziewcząt bowiem w owym czasie szkół jeszcze nie było; oddawano więc je do niewiast «statecznych», poświęcających się nauce płci żeńskiej. Niewiasty te uczyły czytania i niekiedy pisania, dzierzganania pończoch, cerowania i szycia. Majętniejszych rodziców córki uczono, prócz tego, języka francuskiego i niemieckiego, a także spe-

cjalni metrowie uczyli tańca i muzyki. Chłopców — powiada Kitowicz — w szkole parafjalnej uczono czytać na elementarzu i pierwszych początków łaciny na gramatyce Alvara lub Donata, pisarza rzymskiego z IV wieku po Chr., a jednocześnie rozpoczynano i naukę katechizmu. Kara szkolna na tych, którzy się uczyć nie chcieli lub swawolę popełnili, była trojakiego rodzaju: niedopuszczenie jedzenia obiadu, klęczenie i plagi. Narzędzia plag były różnego rodzaju, a najpospoliciej używanem narzędziem była t. zw. placenta, t. j. skóra okrągła, gruba, w kilkoro złożona, na dłoń ręki szeroka, na trzonku drewnianym osadzona; bito nią w rękę za omyłki w czytaniu lub wydawaniu na pamięć wierszy, za zupełne zaś nienauzenie się żadnej lekcji lub za jaką swawolę, albo inne przestępstwo praw szkolnych, używano różgi brzoźowej lub też dyscypliny rzemieiennej, u surowszych nauczycieli ze sznurków nicianych tego splecionej, a mającej siedem lub dziewięć odnóg. Taką różgą albo dyscypliną bito na obnażone ciało, uderzając najmniej trzy, a najwięcej piętnaście razy, według przewinienia, wytrzymałości delikwenta i surowości nau-

czyciela, wymierzającego plagi. Na sporszych chłopczyków, więcej nad siedem lat starszych, używano kańczuga, splecionego z rzemienia, którym nie bito na ciało, ponieważ kaleczyłby je, ale przez odzienie. Znajdowały się dzieci tak twardego ciała, że kańczugowe plagi na samo ciało wytrzymywały bez zbyt wielkiego uczucia bólu; lecz te, które miały tak twarde ciało, były pospolicie również tępych umysłów i małe w naukach czyniły postępy. Jeszcze był jeden rodzaj kary w szkole parafjalnej, ale mało gdzie używany. Jeśli który chłopiec nieprzyzwoicie w izbie się sprawił, tedy musiał się sam dobrowolnie położyć na stołku, na środku szkoły wystawionym; tam każdy współstudent, zdjawszy but z nogi, uderzył go raz cholewą; była to kara wstydzająca, nieboląca, występкови równa

Przekrzesauych w szkole parafjalnej w pierwszych początkach łaciny, oddawano do szkół publicznych jezuickich lub pijarskich, które po wszystkich miastach, gdzie się znajdowały, bywały tak liczne, że się w niektórych po tysiącu uczniów znajdowało. Wszyscy mieszczanie, szlachta i panowie najwięksi, oddawali dzieci swoje do szkół; edukacja

i karność dla wszystkich była równa bez względu na panicza i chudego pacholka, na szlachcica i mieszczanina albo chłopka. Paniczowie, co do szkolnych obowiązków z najchudszyimi zrównani, mieli jednak ten dla siebie przywilej, że zasiadali w szkole pierwsze ławy, chyba, że się który źle uczył, to poszedł *ad scamnum asinorum*. Była to ława «ośla», przy piecu, dla tych, którzy się uczyć nie chcieli; jeżeli taka degradacja nie pomagała gnuśnemu, wdziewano mu na głowę słomianą koronę; na ostatni zaś bodziec do nauki oprowadzano go w takiej koronie po wszystkich klasach, wołając za nim: *Asinus asinorum in secula seculorum*; do tej wszakże ostatniej i nieznośnej hańby rzadko przychodziło, bo jeżeli kto doszedł korony słomianej, już się tak pocił i mozolił nad książką, że oprowadzania uniknął i wkrótce się z ławicy oślej wydobył, przekazawszy koronę słomianą kołkowi, na którym zawsze wisiała, ile razy głowy do niej nie było; zapatrywali się na nią leniwi do nauki jak na straszzydło, chętni zaś, jak na figiel, dla śmiechu wymyślony.

Nauka dzieliła się na klasy. Pierwsza klasa u Jezuitów nazywała się *infima* i dzieliła się na dwie: na *infimę mino-*

*rum* i *infimę majorum*, chociaż mniej więcej w obu oddziałach nauka była jednakowa. U Pijarów klasa pierwsza zwała się *parvą*; uczono w niej tyleż, co w obu oddziałach *infimy* u Jezuitów. Po parwie następowała klasa druga czyli gramatyka, potem syntaktyka, poetyka, retoryka, filozofja i wreszcie ostatnia klasa teologja, do której zresztą wstępowali tylko ci uczniowie, którzy już w szkołach do stanu duchownego czuli powołanie; ci zaś, co nie mieli tego powołania, najczęściej szkoły kończyli na filozofji, a nieraz i na retoryce. *Gramatyka* uczyła składać krótkie zdania łacińskie, *syntaktyka* dawała sposoby, jak mowę prostą należy okraszyć rozmaitemi figurami retorycznymi, *poetyka* dawała pojęcie o długości i krótkości samogłosek czyli o iloczasiu, a także o sposobie pisania wierszy łacińskich i polskich, w *retoryce* zaś uczono sztuki dobrego i długiego w jakiej materji mówienia, dobrego tłómaczenia swych myśli bądź w rozmowie, bądź na piśmie. W *filozofji* uczono dialektyki, fizyki (bardzo pobieżnie), logiki i wreszcie nieco matematyki. Jak widzimy więc, zakres nauk w tych szkołach był bardzo szczupły i jednostronny; o najkonie-

czniejszych rzeczach i zjawiskach w życiu codziennem nie dawano uczniom najmniejszego pojęcia. Dopiero w akademiach czyli wyższych zakładach naukowych, jak np. w akademji krakowskiej, wileńskiej i zamojskiej (wszystkie trzy w tym okresie były również w upadku) zakres wiadomości naukowych był nieco rozszerzony, tam bowiem, oprócz nauki łaciny, wykładano jeszcze matematykę w szerszym zakresie, geometrję, kosmografję, astronomję, geografję, prawo, medycynę (na specjalnym fakultecie medycznym); studja zaś filozoficzne polegały na komentowaniu dzieł Arystotelesa (znanego z lichych i błędnych tłumaczeń) i św. Tomasza z Akwinu.

Co się tyczy szkół średnich, to Pijarzy chętniej szli za postępem, niż Jezuiti, którzy uparcie trzymali się w wykładach przestarzałej metody i wrogo byli usposobieni względem wszelkich nowych teorii naukowych. Pierwsi np. Pijarzy, około połowy XVIII w., odważyli się wydrukować w jednym kalendarzyku politycznym niektóre wyjątki z dzieła Kopernika, dowodzące, że ziemia krąży około słońca. Ledwie to dostrzegli Jezuiti, nie omieszkali użyć przeciw Pija-

rom nauczeńszych w swoim zakonie ludzi i nawet podburzyli przeciw swym rywalom w szkolnictwie inne zakony. Stał się tedy rozruch na kształt pospolitego ruszenia; wydawano broszurki przeciw Pijarom, oskarżając ich o herezję i usiłując im w rozmaity sposób dokuczyć. Ci jednak, coraz jaki kawałek z nowszych filozofów wyrwawszy, oswajali umysły z nowymi ideami i wreszcie dowodzili tego, że wszystkie szkoły przyjęły nakoniec teorję Kopernika, według której ziemia obraca się koło słońca, nie słońce koło ziemi, tak jak pieczeń obraca się koło ognia, nie zaś ogień koło pieczeni. Dalej głosili postępowi Pijarzy, że koloru żadnego nie posiadają przedmioty, te zaś barwy, które na nich widzimy, są rezultatem światła i ustroju oczu, czego dowodem są różnice w kolorach jednych i tych samych przedmiotów przy świetle dziennem i oświetleniu wieczornem; że wszelki ból, świerzb i t. d. nie mają swego miejsca w ciele, tylko w duszy, ponieważ dusza bez ciała nie czuje. Wogóle w czasach Augusta III poczęła do szkół polskich przenikać nowa filozofja, ale bardzo wolno i z wielką bojaźnią, do-

piero około połowy wieku XVIII jawny tryumf odniosła.

W szkołach więc z tego czasu, jak widzieliśmy wyżej, główny nacisk kładziono na naukę języka łacińskiego; bardzo zważano na to, aby nietylko dobrze się uczyli, ale i aby nauczycieli wykladał ten przedmiot, jak się należy. Mniej zdolnych nauczycieli, albo niedbałych często usuwano, dając im do sprawowania inną jaką funkcję w klasztorze. Nauczycieli klas niższych, zwykle kleryków, zwano magistrami, wykładających zaś w klasach wyższych, począwszy od retoryki, nazywano patrami tembardziej, iż byli to już wyświęceni księża. Oprócz nauczycieli szkolnych, w każdej klasie byli jeszcze t. zw. dyrektorowie, t. j. uczniowie klas wyższych, opiekujący się swymi kolegami z klasy niższej. Obowiązkiem ich było mieszkać razem z powierzonymi sobie uczniami, zadana lekcję tłómaczyć i powtarzać, ze stancji do szkoły odprowadzać i ze szkoły do domu, podczas wszelkich zabaw im towarzyszyć. Tacy dyrektorowie byli najmowani i płatni przez ojców uczniów.

Był jeszcze i trzeci rodzaj studentów, a mianowicie chłopcy służący, synowie

ubogich rodziców, będący na służbie u synów magnatów i wogóle szlachty bogatszej. Ci, służąc panom swoim, często z nimi chodzili do szkoły i nieraz przewyższali ich w nauce. Obowiązkiem takiego chłopca było: swemu panu, a także jego dyrektorowi łóżko posłać, buty i odzienie oczyścić, izbę zamieść, chodzić po sprawunki i książki nosić za panem do szkoły i do domu. Tym sposobem kształciło się sporo dzieci szlacheckich niezamożnych.

Mówiąc o uczniach szkół średnich, niepodobna pominąć milczeniem t. zw. kalefaktorów; byli to chłopcy starsi, lat 20 i więcej mający, których powinnością było palenie w piecu i rąbanie drew, a także, gdy jaki uczeń zasłużył na karę cielesną, wówczas kalefaktor w końcu zapiecka, za zasłoną, wykonywał tę operację, nie zaś sam nauczyciel, dlatego, aby przystojność była zachowaną, ponieważ często się zdarzało, iż słabszy chłopiec pod różgą brzożową doznawał takich sanych skutków, jak np. od rumbarbarum. Do jednego pieca albo do dwu był jeden kalefaktor, na którego zapłatę i na drwa składali się studenci zamożniejsi, a resztę, gdy to nie wystarczało, dokładali Jezuici lub Pijarzy,



dając przytem wikt z niedojadków re-  
fektarzowych. Narąbawszy dREW i na-  
paliwszy w piecu, resztę czasu kalefa-  
ktor wraz z innymi uczniami obracał  
na naukę. Z tych kalefaktorów, zazwy-  
czaj tępego umysłu będących, rzadko  
który uzyskiwał promocję do klas wyż-  
szych; zwykle nauczywszy się czytać,  
pisać i cokolwiek liznąwszy łaciny, rzu-  
cał szkołę, szukając innego sposobu do  
życia.

O dyrektorach należy jeszcze dodać,  
iż byli oni dwojakiego rodzaju: jedni,  
płatni rocznie, którzy służyli jednemu  
jakiemu panięciu, albo też kilku synom  
jednych rodziców; drudzy, którzy mie-  
wali pod swoją dyrekcją zbieraną dru-  
żynę chudych pacholków, od których  
brali zapłatę kwartalną po kilka zło-  
tych na kwartał od jednego, a czasem  
też i obiady z kolei. Takie partje uc-  
zniów zazwyczaj rozdawał dyrektorom  
szkolny ksiądz prefekt. Tacy dyrekto-  
rowie, jako ubodzy, byle się skromnie  
i bez noty sprawowali, mieli wolność  
asystowania na weselach za družbów  
i oratorów przy oddawaniu wieńca  
pannie młodej, od której za tę usługę  
na weselu taki družba brał talar bity  
i chustkę, co dla chudego pacholka by-

ło niezłą gratką. Często tacy ubodzy  
dyrektorowie przyjmowali na siebie  
obowiązki pisarzy cechowych w wię-  
kszych miastach, np. pisarzy cechu  
rzeźnickiego, piekarskiego, szewckiego  
i t. d., gdzie wogóle byli bardzo chętnie  
widziani, jako umiejący pięknym sty-  
lem władać. Samo np. przyjmowanie  
do terminowania uczniów i wyzwalanie  
na czeladników lub majstrów, często się  
trafiające, potrzebowało pisarza, który-  
by te dzieje cechowe mądrze i pięknie  
opisać umiał. Nakoniec i czytowanie  
Ewangelji było źródłem dochodu dla  
ubogich dyrektorów i wogóle uczniów.  
Był bowiem zwyczaj, iż ubożsi uczni-  
owie chodzili po domach w dni święte-  
czne, aby tym, co nie mogli być w ko-  
ściele, czytywać Ewangelję, za co dosta-  
wali od słuchaczy po groszu, a noszą-  
cy wodę święconą w dzbanku — po sze-  
łagu. Te Ewangelje były niezłym zyskiem  
dla ubogich studentów, albowiem wów-  
czas wszyscy, nawet wiele panowie,  
mieli sobie za uczynek pobożny przyj-  
mować do domów i pałaców swoich  
słowo Boże i częstokroć płacili uczniom  
nie grosze, ale tyńfy i szóstki.

Dla wzbudzenia wśród uczniów wię-  
kszego zainteresowania się nauką oraz

większej pilności, stosowano w owym czasie fatalny system t. zw. emulacji. Emulowali więc z sobą dwaj uczniowie, starając się prześcignąć nawzajem w odrabianiu lekcji lub w odpowiedziach, przyczem zwycięzca miał prawo, za pozwoleniem nauczyciela, karać zwyciężonego przeciwnika. Obok takiej emulacji była jeszcze i inna, stosowana do całej klasy, którą nauczyciele dzielili na dwie połowy, zwane z łacińska *pars romana* i *pars graeca*. Każda połowa emulowała z drugą, starając się zasłużyć na większą pochwałę w naukach. A ta strona, która po tygodniowej lub miesięcznej emulacji zwyciężała przeciwną, otrzymywała nazwę *pars romana*, jako zaszczytniejszą, niż *pars graeca*.

Uczniowie lepiej się uczący, którzy w ciągu pewnego czasu wykazywali celujące postępy i sprawowanie, otrzymywali w nagrodę różne tytuły, jak np. dyktator, imperator, audytor, cenzor, do których były przywiązane różne prerogatywy, np. doktor zasiadał w osobnej ławce przy katedrze. Najbardziej demoralizującymi były obowiązki, wkładane na cenzora jawnego lub tajnego. Wybierali na ten urząd profesorowie zazwyczaj zausznika, który miał obo-

wiązek notowania wszelkich występków swoich kolegów i donoszenia o tem przełożonym. Np. przeznaczony do śledzenia zachowania się kolegów w kościele cenzor miał kartę z ich nazwiskami, a przy każdym nazwisku było kilka nacięć, każde z początkową literą nazwy swawoli, której mógł się uczeń dopuścić.

Jeżeli więc który z malców rozmawiał w kościele, wówczas cenzor przy jego nazwisku zagał nacięcie z literą *g* (garviebat), jeśli śmiał się, wtedy zagał nacięcie z literą *r* (ridebat). Był to więc, jak widzimy, pomysł bardzo dowcipny dla kontroli tajnej uczniów, chociaż z drugiej strony mocno demoralizujący młodzież. Jeżeli cenzor był jawny, a uczeń mógł dowieść, że jego oskarżenie jest niesłuszne, wtedy oskarżający odbierał karę. Gorzej natomiast się działo, jeżeli cenzor był sekretny, bo w takim wypadku i on krył się przed kolegami, i oni wtedy musieli udawać, że nie wiedzą, kto ich oskarżał. Lecz taki cenzor musiał zwykle zawczasu przed wakacjami wynosić się ze szkół, jeżeli nie chciał na pożegnanie mieć skóry dobrze wytrzepanej. Lecz jeżeli występkę notowane pozwolił u siebie wykupić

(t. j. pokryjому dostał łapówkę), to wówczas miał się dobrze i bezpiecznie był od guzowego pożegnania. Natomiast skoro przypadkiem nauczyciel dowiedział się o takim nadużyciu, wtedy cenzor dostawał różgi i był z urzędu swego zrzucony. Takie to były w owym czasie sposoby zachęcania młodzieży do nauki i do moralnego zachowania się.

Wakacje w szkołach średnich trwały od św. Ignacego (t. j. 31 lipca) do św. Idziego (1 września); wtenczas rozjeżdżali się studenci do domów, a profesorem odpoczywali przez ten czas po pracy rocznej.

W ciągu nauk szkolnych były zwykle dwa dni w każdym tygodniu, przeznaczone na rekreację dla uczniów; był to zwykle wtorek i czwartek, ale nie cały, tylko od południa, ponieważ w owych czasach nauka codziennie trwała najpierw do południa, potem następowała przerwa dwugodzinna na obiad, poczem od drugiej (niekiedy od czwartej) trwała jeszcze przez dwie godziny. W maju niemal zawsze bywały wtorki i czwartki, całkowicie przeznaczone na rekreację. Jeżeli zaś po którym z tych dni przypadało święto, wówczas rekrea-

cji nie było. Zadawano jednak uczniom lekcje do domu, których trzeba było się podczas tych dni nauczyć, w przeciwnym bowiem razie po wesołej rekreacji następowały płaczliwe pod batogiem lamentacje. Na zabawę wspólną podczas rekreacji wychodzili wszyscy uczniowie z dyrektorami i profesorami.

Zabawa taka polegała zwykle na grze w piłkę lub w paleaty. Gumowych piłek wówczas jeszcze nie znano, natomiast były one robione przez samych zwykle uczniów z wełny i pakul, ubitych mocno i po wierzeniu niemi tego osnutych, albo skórą obszytych; niektórzy kładli w środek tej wełny lub pakul chrząstkę rybią albo cielęcą dla nadania piłce jakoby większej sprężystości. Taka piłka używana była do gry dwojako: raz do trafiania w nią w rękę, na ścianie wyciągniętą albo też do uderzania o ziemię i łowienia na powietrze; drugi raz podczas rekreacji w polu do wyrzucania jej w powietrze jak najdalej i ugania się za nią całemi gromadami. Pierwsza zabawa piłką uczyła trafności w rzucaniu pocisków; druga zaś wyrabiała giętkość ciała, szybkość w bieganiu i sprawność w rękach, łowiących piłkę, która przez jednego ucznia zlekka pod-

rzucana, przez drugiego z boku kijem na ukos silnie uderzona, tak się w górę wysadziła, że jej nawet trudno było okiem dojrzeć. Więc wszyscy tej strony gracze, ku której piłka była rzucona, z nateżeniem wzroku w górę i z gotowością rąk śledzili ją i następnie z jak największą szybkością biegli w tę stronę, gdzie ona się opuszczała, aby w powietrzu ją uchwycić. Jeżeli bowiem nie schwytana upadła na ziemię, gra już była przegrana. Takowa gra zwała się palant, a zabawiali się w nią wraz dziećmi dyrektorowie i profesorowie dla agitacji.

Drugą zabawą podczas rekreacji były kije, zwane palcatami, w które pojedynkowali się dwaj studenci z sobą. Ten sposób zabawy wielce był potrzebny dla stanu szlacheckiego, jako wyrabiający młodź do zręcznego później używania szabli, którą nasi przodkowie na wojnach zasłynęli. Jakoż było się czemu przypatrzeć, kiedy dwaj dobrali się do palcatów i bili się aż do zmordowania, a tak umiejętnie każdy się palcatem swoim zasłaniał, zastawiając się ze wszystkich stron, oraz wzajemnie na swego przeciwnika nacierając, że jeden drugiego nie mógł osiągnąć ani

w głowę, ani w twarz, ani wreszcie po bokach. Trafiali się i między profesorami, tak u Jezuitów jak i u Pijarów, tacy, którzy się doskonale bili w palcaty. Były one w użyciu u uczniów nie tylko podczas rekreacji, ale i w samej szkole podczas pauzy. Jeżeli był który uczeń bojaźliwy, iż nie odważył się stanąć z kolegą do palcata, wówczas stawał się przedmiotem drwin i prześladowania całej szkoły.

Dla rozrywki uczniów i dla wprawaenia ich w prezencję i oswojenia w wystąpieniach publicznych, dawano w szkołach rozmaite widowiska sceniczne, urządzano deklamacje wierszem i prozą, czasem muzyką przeplatane. Niekiedy profesorowie rozdawali uczniom różne mowy polityczne w jakiej kwestji, na sejmikach lub na sejmie podjętej, Widowiska sceniczne czyli właściwie djalogi bywały dawane podczas zapust i przed wakacjami. Ostatnim mozołem głowy dla uczniów klas niższych było t. z. «exercitium de promotione», t. j. piśmienny egzamin z języka łacińskiego, polegający na tem, że uczniom, zgromadzonem w klasie, dyktowano kilka zdań trudnych po polsku, które należało przełożyć na łacinę; te ćwiczenia, ze-

brane przez nauczycieli i oddane profesorowi szkoły, stanowiły o promocji ucznia do klasy wyższej. Dlatego też pisząc je, uczniowie wyciężali swój mózg, aby mózgi dobrze ułożyć zdanie po łacinie; niektórzy zaś słabszych umysłów korzystali pokryjomu z pomocy bardziej rozwiniętych kolegów. Niekiedy zdarzało się, iż dyrektorowie kartkami, przez okna ze szkoły wyrzucanemi cichaczem, uwiadomieni, jakie było ćwiczenie, tą drogą swoim wychowañcom na łacinę przełożone podrzucali; jednakże ten podstęp uczniom słabym i przez cały rok źle się uczącym niezawsze pomagał do promocji, ponieważ profesorowie z łatwością poznawali, że praca ta nie jest samodzielna. Z drugiej znów strony mniej dobre ćwiczenie nie przeszkadzało uczniom celującym do promocji. Tak więc egzamin piśmienny był właściwie tylko próbą ostateczną, stosowaną względem uczniów miernych, co do których pewne wątpliwości pozostały. Po tym egzaminie szkoły się zamykały i rozpoczynały się wakacje, najmilsze i najpożądańsze dla dzieci, które oczekiwały ich z równem upragnieniem jak dusze czyścicowe zbawienia.

Przez cały czas pobytu ucznia w

szkole przyzwyczajano go do prowadzenia życia pobożnego i do rozwijania w sobie rozmaitych cnót chrześcijańskich przez nauki moralne, dawane w każdą sobotę i wigilję każdego święta. Prócz tego wymagano spowiedzi co miesiąc, od której uwalniała tylko ciężka choroba; także rozdawano uczniom co miesiąc kartki z wypisaną na nich krótką sentencją, zachęcającą do cnoty i podaną przez jakiego świętego, którego uczeń obierał sobie za patrona na cały miesiąc, wzywając przez ten czas jego pomocy. Również codzienne słuchanie mszy świętej było obowiązujące, wierzono bowiem niezłomnie, iż chociażby człowiek był najbardziej wykształcony, skoro jednak nie ma wiary, nie może być szlachetnym i pożytecznym obywatelem kraju.

Między szkołami jezuickimi i pijarskimi, a także i kolonjami akademickimi nieustannie panowała wzajemna rywalizacja i niechęć, objawiająca się w częstych bójkach i wzajemnych prześladowaniach. Jeśli w jakim mieście np. w Warszawie były szkoły obu zakonów, lub, jak w Poznaniu, jednego z tych zakonów i szkoły akademickie, wówczas między uczniami nie było ni-

gdy spokoju; jedni drugich prześladowali dziwacznie, a ubliżającymi przewiskami się przezywali, a często od słów przychodziło do guzów. Jeżeli nauczyciele obu szkół pozostawiali z sobą w dobrych stosunkach, wtedy takie zaczepki i kłótnie z obu stron surowo karcili. Lecz jeśli między nauczycielami nie było zgody, nienawiść uczniowska bardziej się potęgowała. Skutki zaś takiej niezgody były często dość smutne, zwłaszcza w szkołach warszawskich, gdzie między Jezuitami i Pijarami nieustannie trwająca zazdrość i wśród uczniów tych szkół podsyciała kłótnie i bójki. Bywał zwyczaj, iż gdy Wisła zamarzła, uczniowie pijarscy i jezuicy nawiedzali po lodzie kościół N. Panny Marji u Bernardynów na Pradze. Jeżeli się tedy obie szkoły w jeden i ten sam dzień wybrały w tę pielgrzymkę i spotkały się z sobą na Wiśle, gdzie jedni przed drugimi chronić się nie mogli, rzadko minęły się bez bójki, do której początek dawała mała dziatwa, okrzykując pijarskich uczniów «kurtami», pijarska zaś jezuickich—«szpicami», do tych słów przydając inne obraźliwe, jak np. «Pijara psia wiara», «Jezuita psia jelita». Dzieci najpierw zaczynały mię-

dzy sobą walkę na pięści, pazurami czesząc sobie nawzajem czupryny, albo też ciskając na siebie kulkami śniegowemi; za dziećmi małemi pociągali się starsi, a za tymi dyrektorowie, używając do spotkania kijów, a niekiedy i szabel do wzajemnego siebie i samych nawet profesorów, w tumult zamieszanych, okaleczenia. Takie wybryki potem nuncjatura między profesorami sądziła, godziła lub duchownym sposobem karała. Między studentami zaś z takowych batalji tem większa antypatja rosła. Rektorowie obu kolegów i prefekci szkół upominali profesorów, aby się jednego dnia do kościoła Loretańskiego na Pradze nie schodzili i w tym celu, aby jedni drugich o dniu swojej peregrynacji ostrzegali. Lecz majsterkowie młodzi, lubiący takie wojny, zamiast odkładania na inny dzień drogi loretowej, naumyślnie ją na ten dzień naznaczali, w który ją też i druga szkoła odpnawic postanowiła, albo też wzajemnie zwiódłszy jedni drugich, niby przypadkiem razem się schodzili. Wszakże w tych bitwach nigdy nie przyszło do wielkiego rozlania krwi albo do zabójstwa, bo się potykali nie żołnierze, ale studenci, których zapalczywość prędko porywała, a

jeszcze prędzej gasła za pierwszym guzem na łbie albo na gębie od kija oberwanym. Szablaści zaś rycerze, dawszy komu kreskę, coprędzej zmykali w kupę, aby nie byli poznani i karani, a czasem dla tego i do szkół więcej nie powracali.

Nareszcie i o przywilejach uczniowskich za Augusta III należy kilka słów powiedzieć. Właściwie przywileje prawne posiadały w owym czasie tylko akademje, a nadewszystko przywilej orzekający, iż studentów i profesorów nie wolno pociągać do żadnego innego sądu, tylko do zwierzchności szkolnej. Tymczasem biorąc wzór z akademji, i szkoły średnie przywłaszczyły sobie ów przywilej, a ich uczniowie przyszli do takiej zuchwałości, że nie chcieli odpowiadać przed żadnym sądem, tylko przed szkolnym za psoty, komukolwiek wyrządzone, sami zaś krzywd swoich rzeczywistych czy też tylko urojonych gwałtem dochodzili, nachodząc domy i wyciągając z nich osoby, do których sobie uroili pretensję i nad zawleczonymi do szkoły czyniąc sobie sprawiedliwość, nadto przymuszając batogami do najniższych przeprosin przez upadanie do nóg swoim oprawcom. Niech tylko

jakikolwiek szlachcic, urzędnik, oficer lub żołnierz, który ucznia chcący nie chcący zaczepił, zelżył albo uderzył, już surowej szkolnej egzekucji nie uszedł, chyba że w porę umknął z miasta lub skrył się w jakiś kąć ciasny. Zwykle tłum cały uczniów napadał na takiego winowajcę, kijami, kamieniami, błotem szturmując z tyłu i z przodu, garnąc mu się z naciskiem do głowy, do rąk i nóg; zmordowanego i razami osłabionego pochwytywali i co tehu do szkoły wlekli. Bywały i takie przypadki, że panów nawet z karet wyciągali, co uchodziło napastnikom płazem. Nie było w obec takiej napaści innego ratunku, jak tylko poddać się z największą pokorą, ując sobie obietnicami przewódców albo zyskać spieszoną pomoc wśród nauczycieli, którzy, jeżeli chcieli którego ze swych przyjaciół lub osób dostojnych uratować, wybiegali coprędzej z kolegum, otaczali brańca, odsuwając od niego tłum studentów; a gdy zauważyli, iż pierwsza zaciekłość już osłabła, zganiwszy postępek młodzieży, do domów rozejść się jej kazali, a napastowanego, dla wszelkiego bezpieczeństwa, brali z sobą do kolegum; lub też, jeśli była istotnie z jego strony jaka wina, tedy,

stając niby po stronie uczniów, sposobem łagodnym zatarg ów łagodzili. Zgoda zwykle następowała dopiero za daniem studentom in gratiam winowajcy rekreacji na cały dzień albo nawet i na dwa dni; albo też napastowany obiecywał natychmiast tymże studentom wyprawić sutą ucztę, złożoną zwykle z miodu, sucharków, jabłek, gruszek i innych lakoci. Po takim traktamencie, przy oświadczeniu przytem najwyższego szacunku dla studenckiej godności, bywał winowajca wolnym i bezpiecznym, ale się dobrze napocił, nim z tej prasy wyszedł.

Takie nadużycia ze strony studentów przez wiele lat były tolerowane tak, że ogół przywykł patrzeć na nich jak na osoby uprzywiljowane, a i sami studenci uwierzywszy w to, stali się dziwnie zuchwałymi i za lada przyczyną do wyżej opisanych gwałtów pochopnymi byli.

Zwłaszcza żydów szarpać na ulicy tak było u nich we wycieczkach, że w tych godzinach, gdy uczniowie szli do szkół albo z nich wracali, żaden żyd bez gwałtownej potrzeby nie wychodził na ulicę. Jeżeli czasami przypadkiem znalazł się tam, gdzie uczniowie zabawiali się pod-

czas rekreacji, tedy natychmiast rzucali wszelkie swoje zabawy i pędzili obrać żyda, który umykał jak zajęc przed chartami. Jednakże w jednej tylko Warszawie, gdzie jurysdykcję miał znany ze swej surowości marszałek Bieliński, stosunki były o wiele znośniejsze.

I w wyższych zakładach naukowych, o których zresztą niema wzmianki u Kitowicza, nie lepiej się działo w okresie jezuickim. Poziom naukowy był w nich wogóle dość niski, wydział medyczny był w upadku lub wcale nie istniał (jak np. w Wilnie); na wydziale filozoficznym wykładano różne działy filozofji, przeważnie według Arystotelesa, prócz tego uczono matematyki, historii, geografji i języków a przedewszystkiem łaciny, wreszcie retoryki i poetyki; wydział prawny obejmował naukę prawa rzymskiego i kościelnego, na wydziale zaś teologicznym, który był uważany za najważniejszy, wykładano teologję dogmatyczną i moralną, kazuistykę, Pismo św. starego i nowego zakonu, prawo kanoniczne, historję kościoła i wreszcie język hebrajski. Na brak pilności i swawole wśród młodzieży akademickiej uskarżają się często władze szkolne; w aktach niejednokrotnie czy-



tamy o burdach ulicznych, wyprawianych przez uczniów, o napaściach na inowierców, o wylamywaniu się z pod reguły szkolnej. Wprawdzie w akademii krakowskiej próbowano dokonać reform, przynajmniej w zakresie nauczania, wszakże wszelkie w tym kierunku dążenia rozbijały się o upór i ciasnotę pojęć samych profesorów, którzy z gorliwością godną zaiste lepszej sprawy walczyli z Jezuitami o monopol nauczania i o przeprowadzenie kanonizacji św. Jana Kantego.

Ściśle mówiąc, wszystkie szkoły polskie, zarówno zależne od akademii krakowskiej, jak i szkoły jezuickie i pijarskie przedstawiały w końcu w. XVII a szczególnie w pierwszych dziesiątkach XVIII taki widok, jak niegdyś szkoły gramatyków i retorów w starożytnym Rzymie, umysły bowiem młodzieży szkolnej obracały się tam w świecie, nie mającym nic wspólnego z życiem rzeczywistym, szkoły te dawały tylko wykształcenie formalne, treści życiowej żadnej; ceremonje, parady, nadewszystko czeze dysputy kwitły na dobre, więc też wychodzili z takich szkół ludzie, zdolni do popisania się krasomówstwem, do głoszenia panegiryków na cześć ma-

gnatów, ale o potrzebach kraju, o obowiązkach człowieka, o świecie ich otaczającym nie mający najmniejszego pojęcia.

\* \* \*

Skończywszy ze szkołami, rozpatrzmy obecnie sądownictwo i palestrantów w Polsce w czasach Augusta III. Jest to bezwątpienia bardzo ciekawy wizerunek, dający świadectwo o ówczesnym stanie umysłowym i moralnym narodu, wśród którego poczucie obowiązków obywatelskich i prostej sprawiedliwości upadało coraz bardziej, a natomiast brały górę namiętności i interesy osobiste. Najwyższą instytucją sądowniczą były w Polsce trybunały, utworzone jeszcze przez Stefana Batorego, początkowo działające prawidłowo i przestrzegające sprawiedliwości, stopniowo atoli wraz z upadkiem umysłowym i moralnym narodu obniżające powagę idei sprawiedliwości i często lekceważone przez zuchwalsze i bardziej awanturnicze jednostki, jak np. słynny na Litwie przyjaciel ks. Radziwiłła Wołodkiewicz, który dał gardło za oćwiczenie jednego z przedstawicieli sądów kapturowych podczas bezkrólewia po śmierci Augu-

sta III. Zdarzały się atoli niekiedy wypadki rozpędzania bezkarnego sejmików trybunalskich, nawet zrywania trybunałów, nie mówiąc już o przekupywaniu i o forytowaniu przyjaznych sobie deputatów trybunalskich.

Trybunałów w całej Polsce było od czasów Stefana Batorego dwa: jeden dla korony, obradujący półroku w Lublinie i drugie pół w Piotrkowie, drugi zaś dla Litwy, obradujący w Wilnie i Grodnie, potem i w Mińsku. Przed terminem otwarcia trybunału w każdej z wymienionych miejscowości zbierały się sejmiki trybunalskie, na których wybierano wśród obywatelstwa okolicznego sędziów honorowych, sądzących przez pół roku sprawy w trybunale czyli t. z. deputatów trybunalskich. Co rok jesienią (4 września) otwierał swą kadencję półroczną trybunał dla Wielkopolski w Piotrkowie, kończył ją zaś w sobotę przed niedzielą kwietną, poczem otwierano znów dla Małopolski trybunał na całe lato w Lublinie. W przeddzień otwarcia sesji trybunalskiej o godzinie siódmej rano powinni byli wszyscy obrani na sejmikach kandydaci na deputatów zejść się do kościoła, w którym słuchano mszy ś., podczas której zwykle

stronniczy i nieprzyjaciele owych kandydatów miejsce przed presbiterjum, gdzie stał stolik, przy którym zasiadali urzędnicy ziemscy, aby sprawdzić mandaty każdego z kandydatów i zaakceptować lub też odrzucić jego obiór; przytem każdy z nich obowiązany był, jeśli był zaakceptowany, wykonać przysięgę. Miejsce tedy przy stoliku owym było wielkiej wagi do formowania trybunału, to też stronnictwo, które je opanowało, już zapewniało sobie niemal pół wygranej.

Po skończonej mszy jeden z sędziów, siedzących przy stoliku, głosem donośnym czytał prowincję, na którą podług starszeństwa przypadła laska marszałkowska, a za przeczytaniem każdego województwa lub ziemi, które osobnych deputatów obierają, ci odzywali się: «jesteśmy», i, jeżeli żadnych kwestji im nie robiono, przedzierali się przez ciżbę do stolika, na którym składali uchwałę sejmikową i uznani za prawych deputatów, wykonywali przysięgę. Gdy kto z obecnych kwestjonował prawomocność wyboru, tamował przysięgę deputata i jeżeli sam stał daleko od stolika, podawał dowód na piśmie swego zarzutu w inne ręce, aby przechodząc z rąk do

rąk dostał się na stolik. Zdarzało się niejednokrotnie, że dowód taki, dostawszy się do rąk osoby, przyjaznej deputatowi, bywał ukryty w jej kieszeni, a wówczas sędziowie, nie zważając na protest słowny tylko, odbierali przysięgę. O przyjmowanie więc ważności wyboru, lub odrzucenie ciągle były spory między partjami, ponieważ każda usiłowała utrzymać swego kandydata, przyjaznego swej sprawie, a odsunąć niechętnych sobie. Oddziaływano więc tu namowami, prośbami, nadzieją zysku, groźbami wreszcie, biegnąc jedni do drugich, szepcząc do ucha lub głośno się wadząc o odsunięcie lub utrzymanie deputata; nieraz nawet i do wydobycia szabli przychodziło w takich okolicznościach.

Gdy pierwszego dnia trybunał w ten sposób się ukonstytuował, już dalej wszystko szło spokojnie i wesoło. Noc schodziła na powinszowaniach zwycięstwa stronie tryumfującej i wzajemnie sobie winszowano publicznej pomyślności. Nazajutrz deputaci, zszedłszy się na ratusz, obierali marszałka trybunalskiego, którym zawsze bywał jaki wielki pan, magnat, popierany przez pewne stronnictwo. Marszałek nowoobраниy w

publicznem przemówieniu dziękował za swoje obranie i odbierał łaskę marszałkowską i nakoniec dawał wspaniałą wieczerzę dla deputatów i całej palestry. Następnego dnia sprowadzano z kościoła obraz Najświętszej Panny do kaplicy trybunalskiej, obraz niósł prezydent z marszałkiem, a deputaci i palestra asystowali mu ze świecami w solennej procesji; przed umieszczonym w kaplicy obrazem kapelan trybunalski odprawiał mszę ś. czytaną, podczas której muzykanci do takiej usługi na cały czas trwania trybunału najęci, grali różnemi instrumentami i głosami litanię. Po skończonej mszy kapelan podawał prezydentowi patynę, którą ten odebraną do rąk, ofiarował do pocałowania marszałkowi i innym w kolej deputatom tudzież starszym mecenasom, a na ostatku sam pocałowałszy oddawał kapelanowi.

Po zakończeniu tego obrządku deputaci zamykali się w izbie sądowej i tam układali porządek sądów trybunalskich, instrukcje dla palestry wyższej i niższej a także i dla magistratu, który miał obowiązek dostarczania wiktów i mieszkań na cały czas sądów dla deputatów i osób, przybywających do

miasta w swych sprawach trybunalskich, jako też wypłacania miesięcznej gaży sługom przy trybunale.

Po załatwieniu tych spraw wyznaczali posłów do króla, prymasa i biskupa krakowskiego z doniesieniem o rozpoczętym szczęśliwie trybunale, resztę zaś dnia obracali na ucztę i wzajemny traktament.

Trzeciego lub czwartego dnia zabrano się do sądzenia spraw, które szły w takiej kolej, w jakiej ułożono je poprzednio. Sądy otwierały się mową którego z palestry, witającą trybunał, na którą przygotowany prezydent lub marszałek krótko odpowiedział. Potem woźny z wokandy zapowiedział pierwszą sprawę, której rozpatrywanie marszałek odłożył zwykle na popołudnie lub nawet na dzień następny, bo nagle zaprzęgać się do pracy nie było w modzie. Ponieważ oprócz marszałka i niektórych z deputatów zamożniejszych albo plenipotentów możnych panów mieli sobie za honor popisywać się objadami i kolacjami, przesadzając się w przepychu jedni nad drugich, więc też w pierwszym tygodniu mało bardzo albo wcale nie robiono w trybunale, drugi tydzień ocuczał cokolwiek więcej znużo-

nych biesiadami i do pracy wciągał, która jednakże i w dalszym ciągu często przerywana była rozmaitemi festynami, imieninami i biesiadami, powtarzaniem bez żadnej ku temu okazji.

«Sprawiedliwość— powiada Kitowicz —niezawsze była sprawiedliwą, niestety». Często wobec ogólnego upadku poczucia sprawiedliwości i wzmożonej prywaty zdarzało się, iż panowie deputaci, dawali się przekupywać lub za protekcją wielkich panów otrzymawszy swój urząd, stawiali się ich niewolnikami; częstym było zjawiskiem, iż na takim trybunale ważyła nie słuszność i czystość sprawy, ani moc prawa i dokumentów, ale tylko przyjaźń i pieniądze. Kto według takiego wyroku miał przegrać sprawę, przegrał ją, chociażby była najlepsza; kto miał wygrać, wygrał, chociażby była najgorsza. Jeżeli trzeba było jakiej sprawy nie dopuścić dlatego w liczbie dających się przekupić deputatów byli i sprawiedliwi, nieugięci w enocie, wtedy nie doszła ona na stół, choćby była najpierwszą w rejestrze. Jeżeli zaś trzeba było, aby jaka sprawa doszła, musiała dojść, chociażby była tysiącem innych spraw poprzedzona, do czego taki wtedy wymyślono sposób:

ażeby sprawa nie doszła, pilnowano mocno rejestru, w którym była zapisana i kiedy już miała następować, wtedy ujęci deputaci nagle zrywali komplet sędziów zmyśloną chorobą i kilka dni przesiedzieli w swej stacji, dopóki nie minał czas, przeznaczony na sądenie tej sprawy. Aby zaś sprawa bardzo daleka doszła jaknajprędzej, większość spraw przed nią na spisie umieszczonych odkładali na później czyli według ówczesnego wyrażenia puszczałi per non sunt, co oznaczało, iż sprawa się odkłada dlatego, iż jednej ze stron procesu-jącego się niema. Często takie odkładania sprawy odbywały się i bez winy sądu, kiedy np. jednej ze stron toczą-cych z sobą proces zależało na odłożeniu sprawy, nie stawiła się w sądzie w porze właściwej. Czasem przemyślni obrońcy chwytali się różnych sposobów, ażeby najpierw ich sprawy były sądzone, np. korzystając z prawa, które wymagało przedewszystkiem sądenia spraw kryminalnych, wniesionych na osobną listę, przytem zabójca musiał być pochwycony i okuty stawiony przed sądem, obrońca wynajmował człowieka, któryby dał się okuć i przywieść do sądu, gdy istotnego sprawcy zabój-

stwa odszukać się nie udało, i oświadczał sądowi, że sprawa jego musi być niezwłocznie sądzona, ponieważ jest świeżo przyprowadzony do trybunału więzień w tej sprawie; wówczas marszałek podług prawa dał bilet do komendanta więzienia, aby w niem zamknął go, i jednocześnie polecił daną sprawę wnieść na listę spraw kryminalnych nagłych. Gdy najpóźniej trzeciego dnia po osadzeniu w więzieniu oskarżonego sąd począł rozpatrywać tę sprawę, przyczem uwieziony do żadnej zbrodni oczywiście się nie przyznał, uwalniano go tembardziej, że żadnych poszlak przeciw niemu nie było, pozostawiając mu prawo upominania się o niewinne uwiezienie, czego ten, jako z góry przekupiony, nie czynił; natomiast sprawa przez sąd nie była już do końca rozpatrywana.

Skoro sąd po wysłuchaniu obu stron udał się do osobnego pokoju na naradę czyli na ustępi tam, badając dokumenty i rozprawiając, posilał się przysmakami i starem winem do trybunału w cichości doniesionem (o czem wszakże wszyscy wiedzieli), interesanci zabawiali się, ażeby im się nie przykrzyło, śpiewem pieśni nabożnych przed obra-

zem Matki Boskiej, głośną rozmową lub nawet kłótnią i bijatyką, kończącą się wreszcie przy kieliszku. Po skończonym ustępie marszałek kołatał w stół laską, prezydent dzwonił, a woźny, czuwający przy drzwiach, otwierał izbę sądową, do której wszystka publiczność hurmem wpadała, tłocząc się, wywracając, rozdzierając sobie suknie, gubiąc czapki, do czego pomagała ciemność, zwłaszcza w długie wieczory adwentowe, w komnatach słabo świecami oświetlonych.

Ilekróć, który z deputatów szedł do trybunału lub z niego wychodził, żołnierz z garnizonu asystującego temuż trybunałowi, stojący na warcie, wołał głosem donośnym *raus! (heraus!)*, skutkiem czego oficer z żołnierzami wybiegał z kordygardy i uszykowani w rząd, po żołniersku prezentowali przed nim broń. Dla marszałka zaś i prezydenta przydawał doboz bicie w bęben po trzy razy, co się nazywało biciem werbla; taż sama parada żołnierska odbywała się dla krzyża św. i laski marszałkowskiej, ile razy te insygnia do trybunału niesiono lub z powrotem. Prezydentowi i marszałkowi oprócz nadwornych asystentów i ludzi służących, asystowała jeszcze liczna zgraja pacjen-

tów i innych pochlebców, idąc przed nimi z gołemi głowami, choćby w najtęjsze mrozy, a za nimi ciągnął się drugi orszak hajduków, węgrzyneków, pajuków i t. d. tak własnych marszałka, jako też i tych, co przed nim paradowali, w czym byli w zimie szczęśliwsi od panów swoich, bo mieli nakryte głowy, a tamci gołe, na mroźne powietrze wystawione. Z taką paradą tylko mniej liczna postępowała i deputaci. Pierwszy Janusz Sanguszko, marszałek nadworny W. Ks. Litewskiego, będąc marszałkiem trybunału, a później Michał Lipski, prezydent trybunału, nie cierpieli tej mody, każąc asystującym przed sobą nakrywać głowy. Tych jednak przykładów inni deputaci nie naśladowali, radzi temu, iż przed nimi czapkowano.

Deputaci na wszystkich zebraniach towarzyskich czczeni bywali pierwszemi miejscami; największy pan wiele wpięrował ceremonji, protestów, ukłonów, nim na wyższym od deputata zasiadł miejscu; zgoła wszyscy przed nimi się płaszczyli, chociaż niejedni deputaci majątkiem i talentami ledwo dorównali podstarościemu wielkiego pana. A jednak, gdy z jednej strony takie depu-

tatom zewsząd oddawano uszanowanie, z drugiej strony ostatnia czasem spotykała ich hańba. Kiedy deputat zuchwale ludźmi pomiatał, albo, mając głowę winem rozpaloną, w zbytnią się z nimi konfidencję wdawał, srodze za to musiał nieraz odpokutować. Tak np. raz plenipotent Fleminga, podskarbiego wielkiego litewskiego, stanąwszy z damą do tańca, gdy od deputata był odpechnięty, wyciął mu policzek, skutkiem czego musiał uciekać z Piotrkowa, gdzie ten fakt zaszedł podczas trybunału; a chociaż na tym trybunale został kryminalnie osądzony, jednakże na następnym przy pomocy swego pryncypała Fleminga uzyskał zniesienie dekretu. Następnie w Lublinie Potocki, starosta kaniowski, jednego deputata uderzył w twarz za wcale niewinny żarcik, ale będąc sam wówczas deputatem i mając z sobą żołnierzy nadwornych więcej niż cały garnizon trybunalski, niczego się nie obawiał; to też cały trybunał przez obawę Potockiego całą winę przypisał pokrzywdzonemu deputatowi, który nie mogąc znieść wstydu, wyniósł się z Lublina i wstąpił do ks. Misjonarzy.

Skoro na wiosnę trybunał w Piotrkowie zakończył swą kadencję, zaraz

otwierano drugi w Lublinie w poniedziałek po niedzieli przewodniej. Zjeżdżał nań marszałek trybunału piotrkowskiego z wielką okazałością w otoczeniu mnóstwa sług i klijentów. Rozpoczynano tu sądy tym trybem, co i w Piotrkowie, trwały one do św. Tomasza, poczem marszałek, albo prezydent, żegnał mową publiczną swoich kolegów i całą palestrę, ci zaś od siebie mowami pełnemi panegiryków odpowiadali, podnosząc gorliwość i sprawiedliwość sędziów. W wigilję św. Tomasza deputaci przystępowali do przysięgi, jako sędzili według sumienia i prawa i nie brali żadnych łapówek. Zdarzało się często, iż niejednen deputat głosem niespokojnym wymawiał słowa przysięgi, dusił się kaszlem, usta mu blade i ręka, położona na krucyfiksie, drżała jak w febrze, a stojący obok pacjenci wołali: bój się Boga, nie przysięgaj, oto te rumaki, zaprzężone do karety, oto te bryki, naładowane sprzętami, którycheś nie przywiózł z sobą, wydają cię, iżeś sprzedawał sprawiedliwość. Deputat jednak, choć struchlały, kończy coprędzej przysięgę, co tchu wsiada do powozu i ucieka z miasta.

Oprócz sądów najwyższych w kraju,

t. j. trybunałów, istniały jeszcze różne rodzaje sądów niższych, jak np. sądy szlacheckie, miejskie, kancelarskie, referendarskie, marszałkowskie, nuncjatorskie i konsystorskie. O nich należy kilka słów powiedzieć.

Sądy szlacheckie składały się z ziemstw i grodów. Ziemstwo składało się z sędziego, podsędka i pisarza, którzy obierani bywali na sejmikach powiatowych; na taką elekcję podkomorzy zwoływał szlachtę, która jednakże, jak się często zdarzało, nim się dowiedziała o złożonym sejmiku, już było po elekcji. Jeżeli który z tych trzech sędziów zachorował, albo znajdował się pod procesem lub też umarł wkrótce po swej elekcji, a czasu zabrakło na zwołanie drugiego sejmiku, upadała wówczas kadencja sądów; często więc po powiatach się zdarzało, że nie bywało sądów ziemskich po kilka lat z kolei. W takich wypadkach szlachta udawała się do sądów grodzkich, jeżeli rodzaj sprawy pozwalał na to. Sądy te bowiem nie podlegały prawu powyższemu, a jeżeli sędzia grodzki dla choroby lub innego względu nie mógł brać udziału w swej czynności, wtedy starosta miał moc dać ten urząd innej osobie.

Sądy ziemskie miały dwa razy w ciągu roku, a czasem trzy razy swoje kadencje, sądy grodzkie zaś zawsze cztery razy do roku i były niższe od ziemskich, tak że apelacja szła od sądów grodzkich do ziemskich. Sprawy zaś niemal te same odbywały się w obu sądach z wyjątkiem spraw o dziedzictwo i zastawę dóbr, które należały do sądów ziemskich wyłącznie. I palestra ta sama służyła w obu sądach. W sprawach kryminalnych uciekano się niekiedy w sądach grodzkich do tortur, kiedy winowajca nie przyznawał się do winy dobrowolnie. Torturowanie ludzi, czasem całkowicie niewinnych Kitowicz opisuje w następujący sposób: w miastach główniejszych pod ratuszem była piwnica do tego przeznaczona. W jednej ze ścian jej był wbity żelazny hak gruby, z kółkiem od ziemi, na półtrzecia łokcia; w przeciwległej ścianie takiż z kółkiem od ziemi na łokieć; w środku piwnicy stawiano niski stółek, na którym kat sadzał więźnia, wiązał mu w tył ręce jednym powrozem, a drugim wiązał nogi do kupy, koniec zaś powroza tego przywiązywał do kółka niższego, przez powróż zaś u rąk położony był inny postronek długi i dobrze łojem



dla lżejszego pomykania się wysmarowany; ten postronek, przez kółko wyższe przewleczony, trzymał kat za koniec, okręciwszy sobie około ręki, aby mu się w ciągnięciu nie wymknął. Na boku, przy ścianie, naprzeciw więźnia, stawiano stolik i stołki z kałamarzem, piórami i papierem na stoliku, przy którym zasiadał wójt z dwoma ławnikami, a na boku pisarz miejski. Gdy już wszystko było przygotowane, instygator miejski, stojący przy wójcie, upraszał magistrat, ponieważ oskarżony dobrowolnie przyznać się nie chce, aby go dał na tortury podług świętej sprawiedliwości. Wójt zatem począł pytać więźnia, jakiej jest kondycji, jakiej wiary, gdzie się rodził, czem się trudnił, czy był kiedy więziony i torturowany. Gdy delikwent na te pytania odpowiedział, a pisarz odpowiedzi zapisał, dopiero wójt począł łagodnie go namawiać, aby się przyznał do zarzuconej mu zbrodni lub kradzieży, obiecując złagodzić mu karę; gdy zaś nieszczęśliwy nie przyznawał się, wówczas wójt zaklinał go na wszystkie świętości, na zbawienie duszy, aby nie trwał w uporze. Dopiero gdy i to nie pomogło, rzekł do instygatora: «Panie instygato-

rze, mów mistrzowi, niech postąpi wedle prawa». Instygator więc dawał znak katowi, który silnie pociągnął za sznur, którego koniec trzymał, a wówczas ręce więźnia poczęły wyłamywać się ze stawów i podnosić do góry, nogi zaś wisiały w powietrzu wyprężone. Nieszczęśliwy krzyczał w niebogłosość, błagając i zaklinając na wszystkie świętości, aby go nie męczono. Trafiali się wszakże czasem tacy delikwenci, którzy łajali sędziów najobelżywzemi słowami. Jeżeli delikwent przyznał się do winy, już dalej nie męczono go, w przeciwnym zaś razie, używano mąk sroższych, przykładając do ciała rozpalone żelazo, wkładając na nogi zębate obrycze, które śrubami zaciskano i t. d. W miastach mniejszych męczono oskarżonego ladagdzie, np. w stodole. Gdy miano czarowników i czarownice próbować torturami, zabobonni kaci palili im najpierw włosy, gdzie tylko były na ciele, w tem mniemaniu, iż we włosach łatwo djabeł się ukrywa i cierpi za człowieka.

Sądy kanclerskie zwały się inaczej sądami królewskimi, ponieważ kanclerze wyręczali w nich królów, do których należało odbywać je; także zwano

niekiedy sądami asesorskimi, gdyż w nich razem z kanclerzem zasiadali sekretarze, referendarze i asesorowie, którzy mieli tylko głos doradczy; przytem pisarz asesorski miał obowiązek w jakiej zawilej sprawie dawać sądowi wskazówki i wyjaśnienia, jak należy rozumieć prawo. Sądy kanclerskie czyli asesorskie trwały od 1 grudnia do 30 kwietnia dla Litwy i korony. Porządek, zasiadających w nich osób był następujący: przy jednym końcu długiego stołu, suknem karmazynowem nakrytego, siedział kanclerz na krześle o dwu poręczach, po bokach stołu z obu stron na krzesłach, bez poręczy, siedzieli asesorowie, po nich zaś zasiadał pisarz dekretowy. Przy drugim końcu stołu, naprzeciw kanclerza, stawali obrońcy prawni; na ławach zaś lub kanapach, pod ścianami, siadywali interesanci. Gdy w sprawie granicznej trzeba było wskazywać na mapach miejscowości i granice zakwestjonowane, patronowie przybliżali się do kanclerza i na rozłożonej przed nim mapie, za pomocą cybuchów długich, wskazywali owe miejscowości. Po tej czynności wracali do swoich miejsc i czytali dokumenty na potwierdzenie swych dowodzeń. Miejscem są-

dów asesorskich był pałac kanclerza w jednej z sal z bocznym pokojem, do kąd udawano się na ustęp. Woźny przy tym sądzie był tylko jeden i ten rzadko był zmuszony upominać obecnych o milczenie, gdyż tu cisza i spokój panował zupełny, a jeśli czasem powstał żywszy szmer, nie podnosząc bynajmniej głosu, jak tu zdarzało się np. w trybunale, prosił grzecznie o spokój. Sprawy z rejestru czytał pisarz, a jeżeli czasem należący do nich patronowie nie odezwali się, będąc na bok oddaleni, wtedy woźny głosem donioślejszym powtarzał idącą na stół sprawę. Patronowie asesorscy byli pospolicie plebejuszami i dlatego palestra sądów ziemskich lub grodzkich lekceważyła ich, jako niższych urodzeniem. Sprawy do sądów kanclerskich należały: mieszczan z mieszczanami, od magistratu miejskiego przez apelację wytoczone, lub też magistratowi przez mieszczan, sprawy klasztorów i kościołów, które miały grunty lub kamienice, na prawie magdeburskiem lokowane; dalej sprawy szlachty, graniczącej z dobrami królewskimi, sukcesje, prawego dziedzica nie mające, sprawy między dwoma kandydatami na jaki urząd, starostwo lub

królewszczyznę, wreszcie sprawy o sukcesję, wynikłe przez ożenienie się szlachcica z mieszczanką. Wogóle wszystkie takie sprawy rozpatrywane były w sądach asesorskich, które tyczyły się praw miejskich i przywilejów królewskich. Dlatego też patronowie asesorscy musieli znać doskonale prawo magdeburskie, statuty królewskie i konstytucje koronne, wskutek czego więcej niż inni obrońcy kazali sobie płacić. Zresztą i przepisy określały normę za arkusz pisaney sprawy, mianowicie od arkusza wolno było pobierać czerwony złoty, gdy tymczasem w grodach, ziemstwach i trybunałach płacono za takiż arkusz, mieszczący na każdej stronie dwadzieścia wierszy, — tylko jeden złoty. Stosując się do prawa, pisano wprawdzie na każdej stronie arkusza dwadzieścia wierszy, ale, ponieważ ilość liter w wierszu nie była określona, pisano więc tak, że zaledwie trzy lub najwyżej cztery wyrazy mieściły się w każdym wierszu. Musiał prócz tego taki patron asesorski znać doskonale metryki koronne i litewskie. Było ich cztery: dla korony dwie, większa i mniejsza, i dla Litwy także same dwie. W nie wpisywano wszystkie przywileje i dyplomaty, które

z pod ręki królewskiej wychodziły; prócz tego były one aktami publicznymi, więc wolno było każdemu czynić w nich wszelkie tranzakcje kupna, sprzedaży, rezygnacje, interczyzy ślubne, manifesty, oblaty i t. d. Sąd refendarski był sądem, który rozpatrywał sprawy chłopów królewskich tak ze starostw, jako też z dóbr stołowych, i bronił tem samem wieśniaków przed nadużyciem starostów, rządzców i ekonomów. Patronowie i wogóle palestranci byli w tych sądach ciż sami, co i w sądach asesorskich. Woźnego do tych sądów nie używano, ani też wokandy; patronowie sami wiedzieli, jaka sprawa w danej chwili następuje. Odbywały się te sądy na zamku królewskim, w obecności króla, w maju zwykle, i trwały bardzo krótko dla niewielkiej ilości spraw. Sądy refendarskie, jak również i asesorskie, były ostatnią instancją, od której apelacji już nie było; czasem jednakże za reskryptem królewskim, raz osądzona przez nie sprawa, była po raz drugi rozpatrywana, ale to tylko w takim razie, gdy strona, mająca się za pokrzywdzoną, znalazła u dworu silną protekcję.

Wszystkie sprawy rozwodowe, spra-

wy o dziesięciny i fundusze duchowne, o zapisy na rzecz kościoła lub klasztoru, o długi duchownych osobiste, wszelkie wogóle sprawy duchownych obrządku łacińskiego i greckiego ze świeckimi, podlegały sądom nuncjatorskim. Miały one zwykle wielki nawal spraw i dlatego też bardzo wolno się toczyły. Kilka lat nieraz trzeba było czekać, nim sprawa przyszła na stół, do czego i to się przyczyniało, że sprawy nie były rozpatrywane w takiej kolej, w jakiej były podane, tylko według woli sędziego, którym bywał audytor, włoch rodem, przytem nie zawsze osoba duchowna. W sprawach jednakże bardzo ważnych między osobistościami wybitnymi zasiadał sam nuncjusz z audytorem; patronowie stawali ci sami, co i w asesorji, broniąc swoich klientów w języku łacińskim, w mowie bardzo zwięzłej, objaśniając treść sprawy i oświetlając ją ze swego stanowiska. Pomocnicy, czyli t. zw. agenci patronów, dobrze już w prawie przekrzesani, przychodzili do ksiąg nuncjatorskich, jeden ze strony pozywającej w tychże księgach zapisywał pozwanemu imieniem swego pryncypała, drugi od pozwanego odpisał na nią z przydatkiem, jeżeli miał jakie

pretensje; pierwszy, obaczywszy w aktach odpowiedź, znowu powtórnie na nią replikował, a drugi, podobnie jak pierwszy, zbijał replikę swojemi racjami i to wszystko było w księgach zapisane. Po takich induktach i replikach patronowie składali dokumenty w ręce pisarza nuncjatorskiego, który od siebie przydawał informacje różne z racjami i argumentami rozmaitych praw duchownych rzymskich i krajowych synodalnych, tudzież sejmowych i to wszystko w jeden plik pieczętowali, zapisując na wierzchu, do czyjej sprawy należały te papiery. Audytor podług czasu i woli rewidował te pliki, czytał wszystkie indukty, dokumenty i informacje, poczem przydawał swoje zdanie, poparte racjami, dla których odrzucił obronę jednej strony, a przychylił się do drugiej. Zrobiwszy to, oddał akta napowrót pisarzowi, który, wciągnąwszy całą sprawę do ksiąg, oddawał oryginały stronom, przeczytawszy je wpiery przed nimi w obecności audytora. Jeżeli apelacja była założona do Rzymu, audytor bez zwłoki dawał na nią rezolucję i już było po sprawie. Te sądy odbywały się w Warszawie w pałacu

Tekstyńskim, w którym stawał nuncjusz.

Te same sprawy, które toczyły się w sądzie nuncjatorskim, mogły być rozpatrywane i w sądach konsystorskich, zwłaszcza sprawy rozwodowe. Woźny, służący w tych sądach, nazywał się kursor, przy niektórych konsystorzach nosił suknie barwne, jakie oficjał dawał swoim ludziom; miał blachę posrebrzaną, na boku prawym lub lewym kontusza przyszytą, a wyrażającą herb lub cyfrę oficjała. Podczas sądów nie wrzeszczał tak, jak woźny w trybunale, bo tu wogóle panowała cisza tem większa, że patronowie wykładali sprawy na piśmie. Najważniejszą czynnością kursora było przygotowanie stołu, krzesel, krucyfiks i przyborów do pisania; a kiedy kursor, wyprawiony gdzieś daleko z pismem, nie zdążył przybyć na sądy, tę powinność jego odbywał jakikolwiek inny sługa kościelny lub domowy oficjała. Nie wszystkie jednak pozwy zanosił kursor, wyręczał go w tem nieraz organista, bakałarz lub też dziad kościelny; było tylko przestrzegane, iż ten, co przyniósł pozew, dawał jego kopję stronie pozwanej, oryginał zaś tylko pokazał z daleka i na-

pisal na nim z wierzchu, kiedy, gdzie i przed kim położył kopję, w ten sposób pozew uważany był za urzędownie wręczony. Dlatego zaś kursor nie dawał do ręki samego oryginału, gdyż znajdowali się tacy śmiałkowie, którzy pod pretekstem sprawdzenia kopji z oryginałem, dostawszy go od kursora, nazad mu nie oddawali, co pociągało za sobą odroczenie terminu sprawy, na czem właśnie niejednemu wiele zależało; np. jeśli komu groziła ekskomunika, wolał wyrwaniem z rąk kursora oryginału zarobić na nową sprawę, niż dać się ogłaszać po kościołach za wklętego. Kłątwy bowiem w owym czasie miały jeszcze wielkie znaczenie, pozbawiały bowiem jednostkę praw i odstręczały od niej ogół dobrej wiary. Instygator konsystorski (oskarżyciel) nazywał się *fiscalis* i nosił tytuł *venerebilis*, choć czasem bywał świeckim i miał żonę; np. był nim przez długi czas w konsystorzu w Warszawie niejaki Lachowski, który chodził w krótkich sukniach z kołnierzykiem i płaszczykiem z tyłu po rzymsku, mając żonę, z którą czasem spacerował, od nieświadomych brany za pastora lutereckiego. Jednego zaś razu, będąc z żoną w drodze, mało

życia nie utracił od chłopów w karczmie, widzących, że coś podobnego do księdza zabiera się do noclegu z białogłową.

W połowie panowania Augusta III zagaęciły się w Polsce rozwody, często z obu stron ułożone; wtedy stolica apostołska postanowiła obrońców sakramentu małżeństwa w osobie instygatorów, którzy z obowiązku brali udział w każdej sprawie rozwodowej, broniąc ważności małżeństwa, z którego się jedna strona lub obie wyłamać chciały. Ale ta ostrożność, jak wszystkie inne w tym czasie, pełnym zepsucia, niewiele broniła związku małżeńskiego. Defensor (obrońca) więc, powiedziawszy to i owo w obronie małżeństwa, o tyle tylko dalej ku utrzymaniu go pracował, o ile był od której ze stron wspierany, a kiedy widział, że się strony uwzięły koniecznie za rozerwanie tego jarzma, i on nie popierał sprawy zbyt gorąco, uważając, że nie należy popierać sprawy małżeństwa dwojga ludzi, którzy nawzajem sobie obmierzli; lepiej więc będzie, gdy się rozłączą, niżby miało być ustawiczne piekło między nimi. Mówiłby kto, że to Duch św. przez niego przemawia, a to był djabeł za kolnierzem, tam bowiem, gdzie mu strona, u-

trzymująca ważność małżeństwa, dobrze zapłaciła, nie był tak skrupulatny, choć biedna kobieta, gwałtem za brutalą wypchnięta za mąż dla interesu rodziców lub opiekunów i chłostą do ślubowania przymuszona, żyła z mężem dzikim, okrutnikiem, niewiernym rozpustnikiem, który, bojąc się stracić posagu, dobrze smarował patrona, defensora i sąd.

Palestry konsystorskie nigdy nie były liczne i innego gatunku młodzieży w nich nie było, tylko miejscy synkowie, którzy, przekrzesawszy się w łacinie i w formie jurysdykcyjnej, albo szli do rewerendy na przyszłych pisarzów konsystorskich lub kanoników doktoralnych, albo też, ożeniwszy się, wchodzili do rady miejskiej i zostawali pisarzami miejskimi, dlatego też mało było takich, którzy wiek swój w palestrze konsystorskiej strawili, wskutek czego brak tam był ludzi uzdolnionych zawsze, osobliwie po miastach rusińskich, których mieszkańcy składali się z żydów lub rusinów, rzadko oddających swe dzieci do szkoły. Tak np. za czasów Kobielskiego, biskupa łuckiego, w tamtejszym konsystorzu był tylko jeden patron, który stawał na obu stronach. Więc co przywiódł na poparcie jednej strony, to

następnie zbijał, broniąc drugiej. Śmieszna rzecz była, gdy w sprawie rozwodowej z racji niemocy męża, broniąc go przed oskarżeniem żony, zbijał jej zarzuty, to znów po chwili, stając z jej strony przeciw mężowi, dowodził, że żona ma słuszość.

Biskupi sami na sądach konsystorskich nie zasiadali, chyba, gdy sprawa była wielkiej wagi i między bardzo wybitnymi osobami, a także, gdy trzeba było sądzić kanonika katedralnego. Oficjałowie również nie wszyscy obecni byli podczas sądenia spraw; kiedy oficjałem był jaki majętny prałat, wówczas sądownictwem, wprawdzie intratnem, ale też i wymagającym pracy, się nie zatrudniał, przelewając swe obowiązki na surogata.

Na zakończenie charakterystyki sądów konsystorskich przytoczyć tu wypada sprawę, która wynikła około połowy XVIII w. między sądem ziemskim a konsystorskim o jurysdykcję w sprawach o dziesięciny. Zapoczątkował ten spór niejaki Szamocki, głośny w swoim czasie patron trybunalski, pozwany od swego plebana o dziesięcinę do konsystorza warszawskiego. Wówczas Szamocki wniósł skargę na plebana do sądu

ziemskiego, a za jego przykładem poszli wszyscy obywatele ziemi warszawskiej i czerskiej, mającej również w konsystorzu sprawy ze swymi plebanami o dziesięciny. Wtedy konsystorz rzucił klątwę na hardą szlachtę, ziemstwo zaś wydało nawzajem kondemnaty na księży zapozwanych i nie stawiających się do sądu. Z takich więc spraw prywatnych powstała sprawa publiczna między ziemstwem a konsystorzem. Obie ziemie, warszawska i czerska, uczyniły solenny manifest tak przeciw duchownym, toczącym procesy o dziesięciny, jako też przeciw konsystorzowi, jakoby nieprawnie przywłaszczającemu sobie prawo sądenia spraw takich. Ten manifest posłano do Rzymu z prośbą, aby stolica apostolska wyznaczyła komisję z osób duchownych i świeckich złożoną, którały, wzniecające się rozterki, podług praw krajowych, uśmierzyła. Papież zadość uczynił tej prośbie: wyznaczona przez niego komisja rozpatrzyła całą tę sprawę i forum o dziesięciny przyznała sądowi świeckiemu, przyczem sędziowie, sądzący tę sprawę, przyłączyli do dziesięcin i wiele innych rzeczy, jak np. sprawę o zapisy na rzecz kościoła, o testamenty z legacjami, ko-

ściołowi uczynionemi i t. d., które przedtem podlegały kompetencji sądów konsystorskich.

Sądy marszałkowskie odbywały się pod bokiem królewskim, tam, gdzie król jakiś czas bawił, jak np. w Warszawie, w Grodnie, a że w tem ostatniem mieście królowie rzadko bawili, np. August III był zaledwie cztery razy, do Warszawy zaś zjeżdżał co dwa lata dla sejmu i bawił czasem po pół roku lub dłużej, dlatego też sądy marszałkowskie najpospoliciej tam się agitowały. Dzieły się te sądy na potoczne i kryminalne; potoczne odbywał sędzia marszałkowski z pisarzem w kamienicy, w której ten sędzia mieszkał. Na kryminalnych sądach zasiadał sam marszałek w swoim pałacu. Kiedy się przy boku królewskim znajdował marszałek wielki koronny, to miejsce jego w tej jurysdykcji i w innych powinnościach, do laski wielkiej należących, zastępował marszałek nadworny koronny, a jeżeli obudwu koronnych nie było, to ich obowiązki sprawował marszałek litewski. Na dwa tygodnie przed sejmem, jeżeli król jeszcze nie przybył do kraju, otwierała się jurysdykcja marszałkowska, oznajmowana po pryneypalnych przed-

mieściami i ulicach Warszawy przez trąbę woźnego, któremu instygator marszałkowski, otoczony żołnierzami, dyktował z karty to, co woźny miał obwołać. Kiedy ten ostatni wymienił króla, wówczas oficer komenderujący zawołał na żołnierzy, by prezentowali broń, i natychmiast żołnierze karabiny, trzymane dotychczas na ramionach, brali przed się i trzymali prosto, póki imię królewskie nie minęło. To samo czynili na wymówienie przez woźnego tytułu i imienia marszałka, poczem składali broń znowu na ramię. Po takim obwołaniu jurysdykcji marszałkowskiej zaczynały chodzić ronty nocne żołnierzy marszałkowskich i z regimentów gwardji pieszej i konnej, tudzież patrole ułanów królewskich, przestrzegające spokojności i bezpieczeństwa publicznego, a kogo spotkali na ulicy, chodzącego po capstrzyku, zabierali na swoje hauptwachy, jeśli wzbudzał podejrzenie i nie potrafił jasno się wylegitymować, i nazajutrz odprowadzili do marszałkowskiej kordygardy przy bramie nowomiejskiej\*), z której byli uwalniani po stawieniu

\*) Obecnie istnieją resztki tej bramy przy zbiegu Podwala i ulicy Nowomiejskiej.



przed sądem marszałkowskim i odebraniu zasłużonej kary. Zdarzało się czasem, iż ludzie dworscy z towarzystwa znaków pancernych lub husarskich wpadali w ręce rontom, kiedy, zagrzana mając głowę trunkiem, powracali późno w noc do domów z huczeniem pijackim i krzesaniem szabel po bruku, albo też w swadzie i bitwie między sobą i innymi hałaśnikami nocnymi. Żołnierze, cheiwi takich obławów, napadali na nich cichaczem i kogo mogli, słabych nóg albo niewprawnej ręki do korda, porywali bez respektu na charakter i mundur, zapraszając na nocleg do kozy; tam wytrzeźwiwszy się, nocni rycerze oznajmiali o swoich godnościach sędziemu marszałkowskiemu, który wyrozumiawszy rzecz, jeżeli nie było żadnego ekscesu nad nocne huki, z podpitej fantazji pochodzące, kazał ich nazajutrz wypuścić. Ale oni, dla wstydu nie śmiejąc wychodzić w dzień z takiej kwatery, prosili grzecznie żołnierzy, aby mogli do następnej nocy tam zostać; żołnierze zaś, mając się dobrze przy takich gościach, chętnie im ławy do siedzenia i spoczynku udzielali. Gdy zaś noc nadeszła, pożegnawszy się mile z kolegami, a dla wszelkiego przypadku i z żołnierzami,

zmykał co tchu do domu, nie potrzebując przewodnika z latarką lub pochodnią. Jeżeli zaś taki osobnik dopuścił się po pijanemu jakiego ekscesu, potrzebującego sądowej animadwersji, winowajca bywał wypuszczany za kaucją swojego pryncypała, u którego służył; wojskowy zaś, jeżeli na arest zasłużył, odprowadzany był pod wartą marszałkowską do pałacu hetmańskiego i tam sądzony podług przewinienia, co też stosowano do oficerów rozmaitych regimentów, oddając ich pod własne komendy i sądy.

Chociaż dobyte szabli pod bokiem królewskim było uważane za sprawę kryminalną, jednakże nikogo nie stracono za tę zuchwałość, a nawet za porażenie człowieka; w takim wypadku zwykle skazywano na więź i grzywny podług występku; chyba, że zaszło zabójstwo, wtenczas zabójca był karany śmiercią. Nieraz na pokojach królewskich albo na zamku w przysionku izby senatorskiej cisnący się natręt, odepchnięty kolbą szyldwacha, z niecierpliwości porwał się do szabli, a i taki nie przypłacił głową swojej porywczości, tylko więzłą i grzywnami, a wojskowy arestem z łańcuszkami. Jeżeli bowiem

w prawie polskiem napisano, że porywający się do oręza pod bokiem króla powinien być karany śmiercią, to tylko dla respektu majestatu królewskiego napisano, że godzien być karany śmiercią, ale nie koniecznie powinien; z drugiej zaś strony, gdy pod bokiem królewskim dla zjazdu z licznych województw, wesołych szalapeutów, żwawej młodzieży, porywczej do korda pełno było, jak na każdym zjeździe, różnych awantur, niepodobna było każdego karać śmiercią, co wszystko, brane pod uwagę, mitygowało w sędziach surowość prawa.

Sądy marszałkowskie potoczne rozpatrywały sprawy o wszelkie bójkki, o kalumnie słowne, o niezapłacenie za wynajętą stancję przez przyjezdną osobę. Wogóle goście, przybywający do miasta, w którem król rezydował, podlegali we wszelkich sprawach jurysdykcji marszałkowskiej. Wierzyciel więc, miejscowy lub goszczący, przydybawszy w Warszawie swego dłużnika, pozywał go do sądów marszałkowskich, w których szybko otrzymywał satysfakcję, sąd bowiem natychmiast po rozpatrzeniu sprawy, kładł areszt na rzeczy pozwanego, a następnie je tradował, a jeżeli dłużnik

nie miał, osadzano go w kordygardzie; każdy więc, kogo taki proces zaskoczył, starał się jak najprędzej dług zapłacić, byleby nie stracić swych rzeczy lub nie dostać się do kozy. Szulerzy także byli pociągani do sądów marszałkowskich o sumy przegrane w karty i niezapłacone. Najwięcej zaś było spraw w sądach marszałkowskich ludu pospolitego lub szlachty uboższej, osiadłej w okolicach Warszawy i mającej swe posesje w różnych jurysdykach. Taka szlachta, wiedząc, że w sądach miejskich, grodzkich sprawa mogła się łatwo przewlekać, wołała udawać się do sądów marszałkowskich, gdzie rezolucja była natychmiastowa. Same przekupki warszawskie, kobiety wyparzonej gęby, robiły spraw niemało; powadziwszy się albo obdarłszy łeb jedną drugiej, albo też «nieuczciwem błysnieniem ciała jedna drugą spostonowawszy», biegły w zapale do instygatora marszałkowskiego, który posyłał zaraz przez woźnego pozew piśmienny lub ustny stronie krzywdzącej, następnie, rozpatrzywszy sprawę, skazywał winną na grzywny lub chłostę. Śmieszne czasem powody były do kłótni między takimi kobietami. Np. po śmierci Augusta III jedna przekupka,

pod ratuszem starej Warszawy siedząca, gdzie wogóle siadywały największe szczeniaki, twierdziła, że Stanisław Poniatowski będzie królem, druga zaś, obok siedząca — że Adam Czartoryski. Nie mogąc jedna drugiej przeprzeć racjami, rzuciły się na siebie z rękami i pazurami, porozdzierały odzienie, lby potargały, gęby podrapały, wszystkie zieleniny i owoce, które sprzedawały, wyciskały na siebie, wołając jedna do drugiej: «kłamiesz, nie twój Staś, tylko mój Adaś będzie królem»; tamta zaś odpowiadała jej: «Nieprawda, nie twój Adaś, tylko mój Staś będzie królem i ciebie różgami osiec każę.»

Na tę bójkę, kołem różnych ludzi otoczoną, nadszedł jeden rajca warszawski, a poznawszy przyczynę tej zwady, kazał pacholkom miejskim obie zaprowadzić do ratusza, poczem prezydent, poinformowany o całej sprawie, skarał obie różgami i na inne miejsca ze straganami rozsadził, aby drugi raz na siebie się nie rzuciły. Do sądów marszałkowskich pozywano także gospodarzy domów, którzy wynajmowali u siebie mieszkanie kobietom nierządnym, niewiasty zaś same karano chłostą i wygnaniem z miasta, a że taka animad-

wersja nie była regularną, ani punktualną, one więc, wypędzane z jednego domu, przenosiły się do drugiego, czyniąc swoje rzemiosło z większą ostrożnością, mając na pogotowiu inne jakie zajęcia uczciwe, które ich od rygoru sprawiedliwości ochraniałyby. Lubo po rozmaitych kątach Warszawy ich nie brakowało, jednakże Nalewki były niemi najslawniejsze.

Sądy kryminalne marszałkowskie nie miały regularnych sesji, tylko wtedy, gdy się znajdował winowajca godzien śmierci. Lecz skoro objął łaskę wielką koronną Franciszek Bieliński, rzadko kiedy wakowały. Ten pan bowiem, surowy i sprawiedliwy, rąco wyprawiał na tamten świat każdego, kto na śmierć zasłużył. Więc, że po całym kraju słynął tym darem sprawiedliwości, przeto wożono do jego sądów z najodleglejszych polskich prowincji kryminalistów, gdy się delatorom w innych jurysdykcjach miejscowych wydawał proces długim i kosztownym, albo sprawiedliwość niepewna; mianowicie, kiedy jaki familiant popełnił zbrodnię, za którym obstawiała koligacja, albo żyd, którego drudzy żydzi okupem chociażby największym wyzwolić od śmierci uważali

za akt heroiczny swojej religii. Jedna królowa tylko, pani wielce pobożna i miłosierna, psuła mu jego symetrię egzekucji, usilnemi swemi intencjami wypraszając winowajców od śmierci zasłużonej nadzieją poprawy życia, rzadko widzianą, osobliwie w złodziejach.

Kiedy Bieliński widział, że zbrodzień, do złego przywykły, nie wart był dłuższej konserwacji na świecie, a obawiał się kobiecego królowej miłosierdzia, kazał go sprzątnąć natychmiast, zamknąwszy się przed natręctwem królowej w gabinecie; a czasem, gdy się skryć nie zdołał, a szkaradny postępek skazanego wart był ukarania, wręcz instancję królowej odrzucał. Taka jednak sprawiedliwość co do złoczyńców dalekich od Warszawy przekraczała obręby władzy, jurysdykcja bowiem marszałkowska rozciągała się tylko na uczynki i występki, pod bokiem króla i na trzy mile w promieniu od miejsca jego pobytu popełnione. Jednakże nikt z tego nigdy żadnej kwestji Bielińskiemu nie czynił i wszystkie jego wyroki święcie były wykonywane.

We dwa tygodnie po wyjeździe królowa kończyła się jurysdykcja marszałkowska co do sądów, co zaś do innych roz-

porządzeń w Warszawie, te wydawał Bieliński ciągle; choć nawet czasem wyjeżdżał na lato do Otwocka, dóbr swoich, to zostawał w Warszawie namiestników swoich, którzy plany jego i rozporządzenia wykonywali. Sprawy potoczne, których nie zdołały osądzić sądy marszałkowskie, po zakończeniu tej jurysdykcji odsyłano do grodu i do ratusza starej Warszawy podług stanu osób, z sobą się prawujących. Wszyscy zaś uwięzieni jakiegokolwiek stanu i jeszcze nie dekretowani, byli oddawani do tegoż ratusza, gdzie ich nie lepszy los czekał niż u Bielińskiego, póki żył pan Lupta, prezydent ówczesny Warszawy; był to człowiek, w sprawiedliwości i surowości równy Bielińskiemu.

Sądy potoczne marszałkowskie były pierwszą instancją, od której szła apelacja do samego marszałka, ale ta rzadko była uwzględniana, ponieważ marszałek dobierał takich sędziów, których wyroków poprawiać nie było potrzeba i którzy byłiby takiego mniej więcej poglądu jak i sam marszałek.

Na zakończenie zarysu sądów w Polsce należy kilka słów powiedzieć jeszcze i o komisji radoskiej, do której należały sprawy skarbowe i wojskowe,

np. kupców z oficjalistami skarbowemi o konfiskatę towarów, zatargi między żołnierzami i oficerami, krzywdy, wyrządzone im przez szefów, skargi obywateli na gwałty, popełnione przez żołnierzy i t. d. Likwidowały się także przed tą komisją wszystkie regimenty i chorągwie ze swych wydatków i dochodów; również sądzono w niej i wszystkie sprawy kryminalne, wynikłe wskutek gwałtów i zabójstw, popełnionych pod jej bokiem. Kadencja komisji radomskiej trwała przez sześć tygodni, poczynając od św. Stanisława, biskupa, (8 maja) w Radomiu. Prezydentem jej był zawsze biskup, sędziowie zaś wybierani wśród obywatelstwa i wojskowych.

\* \* \*

Najważniejszym aktem w życiu politycznym Polski był zawsze sejm i sejmiki, są to jednocześnie i najcharakterystyczniejsze momenty, ujawniające znakomicie naturę narodu polskiego, a ściślej mówiąc, wady jego. Rozumiał to doskonale Mickiewicz, gdy dla charakterystyki wad politycznych szlachty polskiej dał nam w «Panu Tadeuszu» świe-

tny obraz sejmiku szlacheckiego (w księdze 7-ej), na którym widzimy plastycznie się zarysowujące te straszne wady, jak prywata, przewaga stanowcza uczuć i namiętności nad rozumem i t. d. Wobec tego więc, chcąc urobić sobie należyte pojęcie o naturze narodu, musimy przypatrzeć się koniecznie owym sejmom i sejmikom szlacheckim, których obraz nader smutny widzimy w czasach panowania Augusta III, gdy poczucie obowiązków narodowych tak już upadło, a prywata i bezrząd w kraju doszły do takiego stopnia, że ani jeden sejm wolny nie doszedł do końca swych obrad.

Każdy sejm w Polsce poprzedzały sejmiki we wszystkich powiatach i ziemiach i na nich obradowała szlachta danego powiatu, zastanawiając się nad sprawami, które miały być rozpatrywane na sejmie walnym, i obierając dwóch posłów (z każdego powiatu lub ziemi) na ów sejm, zaopatrując ich w ścisłe instrukcje ze wskazówkami, jak się mają na nim zachować wobec różnych tam poruszanych kwestji.

Sejmiki powstały w Polsce za czasów Kazimierza Jagiellończyka, który powołał szlachtę do rządów, chcąc w niej

mieć przeciwwagę wobec władzy możnych magnatów. Za czasów jednak barskich, gdy w kraju panowała oligarchja, sejmiki stały się narzędziem magnatów, którzy, za pomocą oddanej sobie całkowicie szlachty, przeprowadzali na nich swe plany polityczne i prywatne. Skutkiem tego zwykle magnat, chcąc sobie zjednać jak najwięcej stronników, hojnie ich podejmował przez cały czas sejmikowania i nawet zapewniał im całkowite utrzymanie. Mieszkała zaś szlachta, przybyła na sejmik, po różnych gospodach miasteczka powiatowego, lub w lecie pod namiotami w sadach lub podwórzach, a schodziła się na śniadanie, obiad i wieczerzę do jednego wspólnego miejsca, gdzie dworzanie magnata raczyli przybyłych potrawami, niezbyt wyszukanemi, pospolicie bigosem, pieczeniem wołową lub baranią, czasem drobiem, przytem hojnie raczono wódką, piwem i winem, ale tylko wieczorem podczas wieczerzy, aby w dzień sejmikujący zdolni byli do pracy. Dopiero wieczorem, po skończonej sesji, ciągnęli wszyscy do wieczerzy, gdzie pojono ich tak, że niejeden, nie mogąc o własnych siłach dojść do mieszkania, padł byle gdzie pod plotem, na środku ulicy

w rynsztoku, w błocie i tam przespał noc całą. Nazajutrz ten i ów obudził się bez czapki, bez pasa, szabli, a czasem do koszuli obrany przez jakiego łotra. W takim razie szedł do swojego pryncypała, od którego był na sejmik sprowadzony, po nagrodę. Jeżeli pryncypał zwyciężył na sejmiku swego przeciwnika, nagradzał wówczas poniesione straty i dawał swym adherentom wzamian za stracone, inne pasy, czapki, szable i t. d., których spory zapas panowie przywozili z sobą na sejmik; ale jeżeli pryncypał nie utrzymał się na sejmiku i był zwyciężony od przeciwnika, a nieraz musiał uciekać z miasta, aby nie być posiekany przez partję przeciwną, wówczas szlachcicowi nikt poniesionej straty nie wynagradzał.

Zaopatrzeni w mandaty poselskie, czyli t. zw. *lauda*, posłowie, obrani na sejmikach, wyjeżdżali na sejm walny, którego najpierwszą czynnością było sprawdzenie owych mandatów i ich prawomocności t. j. tak zwane rugi. Na takich rugach nieraz dwa i trzy dni zeszło, tembardziej, że zważano pilnie, aby poseł nie miał na sobie kondemnaty; po ukończeniu tej czynności następował obiór marszałka sejmowego, poczem

dopiero rozpoczynano obrady. Za panowania Augusta III istniały w kraju dwie wrogie sobie partie polityczne: partja dworska, czyli stronnictwo królewskie i partja Czartoryskich, później zwana Familją, która dążyła do detronizacji króla. Ścieranie się z sobą tych dwóch partji było główną przyczyną tego, że żaden sejm za panowania Augusta III do skutku nie doszedł, ponieważ niechętne partje, stając się niekiedy narzędziem obcej polityki, zrywały sejmy przez zjednanie dla siebie jednostki, zwalając winę na króla i utyskując na zamęt, którego same zresztą stały się przyczyną. Do zrywania sejmów używano oczywiście ludzi najnikczemniejszych, dających się łatwo przekupić; lada poseł ciemny, ograniczony odezwał się w izbie, iż niema zgody na sejm i to było wystarczające do zatomowania obrad. Gdy go marszałek zapytał, dla jakiej przyczyny je tamuje, odpowiadał krótko: Jestem posłem, nie pozwalam. Potem zanosił do kancelarji manifest o nieważności sejmu dla bylejakiej przyczyny. Np. gdy w r. 1750 Rzewuski, wojewoda podolski, ażeby mógł zostać marszałkiem sejmowym, rzekł się swego województwa, partja.

przeciwna dworowi, który popierał Rzewuskiego, użyła tego pretekstu do zerwania sejmu; albo też w r. 1772 sejm zerwano, motywując tem, że posłem ziemi warszawskiej był syn Brühla, który świeżo otrzymał indygenat polski, nie był więc szlachcicem polskim, uznanym przez konstytucję. W r. 1746 panowie z królem na czele postanowili użyć wszelkich środków, by sejm raz nareszcie doprowadzić do końca; w tym celu obie partje podały sobie ręce, zgodnemi głosami obrały marszałkiem Lubomirskiego i poczęły, wyrzekłszy się prywaty, odradować nad sprawami publicznymi; uchwalono wiele pożytecznych projektów, a między innymi podniesienie wojska do 60,000 i fundusz na jego utrzymanie; jednakże ostatniego dnia obrad zerwano sejm dlatego, iż z powodu rozwlekłych mów posłów w sprawach często prywatnych, posiedzenie przeciągnęło się do późnego wieczoru, a zwyczaj wymagał, by obrady kończyły się z zachodem słońca. Następnym zaś po tym sejm był zerwany przez kilku przekupionych przez obce mocarstwo posłów, z których jeden, tknięty wyrzutami sumienia, podczas sesji sejmowej publicznie przyznał się, iż wziął

pieniądze i rzucił je na środek izby, nawołując i innych przekupionych posłów, aby to samo uczynili. Stąd wszczął się hałas, który skończył się zerwaniem sejmu. Należy tu zaznaczyć, iż jeden poseł nigdyby się nie odważył zerwać sejmu, gdyby wiedział, że postępuje przeciw woli wszystkich magnatów, bo wówczas, nie mając za sobą możnego protektora, byłby przez innych posłów zbity, a nawet zabity, w najlepszym zaś razie byłby przez wszystkich okrzyczany za zdrajcę ojczyzny; tymczasem poseł, osłonięty powagą magnatów, mógł popełniać różne nadużycia pod pozorem obrony wolności. Zrywano tedy sejmiki i sejmy bezkarnie, zwłaszcza te ostatnie, ponieważ na sejmikach, odprawianych przez podpity tłum szlachty, nieraz przeczącemu większości dostało się szablą przez łeb lub po uchu; taki poseł, przekupiony przez magnata, jeśli zerwał obrady, musiał, otoczony przyjaciółmi, natychmiast dopadać kancelarji, podpisać tam manifest i co temu z miastu uciekać.

Jak nie szukano nigdy poważnych przyczyn do zerwania sejmu, tak też nie szukano ich i do zatamowania na pewien czas obrad sejmowych, co czy-

nił poseł przez okrzyk w izbie: *Sisto activitatem* (tamuję obrady). Na sejmie roku 1758 jeden poseł trzymał przez kilka dni całą izbę w bezczynności za to, że Pijarzy, w wydawanym przez siebie kalendarzyku politycznym, ominięli przez pomyłkę jego nazwisko, jako posła. Na próżno przekonywano go, że jest to sprawa czysto prywatna i sejm nie może jej rozstrzygać; nie dał się ubłagać aż wówczas dopiero, gdy we wszystkich egzemplarzach, w drukarni jeszcze będących, omyłkę poprawiono i ks. rektor pijarski, w pięknej oprawie, jeden taki egzemplarz mu ofiarował. Inny znów poseł, na sejmie 1746 r., zatamował obrady na dwa dni za to, że wielkopoleanie podali projekt porównania podatków, pragnąc, aby województwa ruskie, które mniejszemi podatkami były obłożone, płaciły podatki takie, jak i w całym kraju; poseł ów dopiero wówczas ustąpił, gdy mu «starostwem rudzińskim prędko gębę zatkano». Takie tamowanie obrad sejmowych często się zdarzało, nawet, gdy jaki poseł, w mowie swej, nieostrożnie, wyrzekł jakie słowo, którem inny poseł czuł się obrażonym, natychmiast mścił się za to na całą izbę. Więc podchodzili do niego



posłowie, marszałek i delegowani od senatu, prosząc, aby przebaczył mówiącemu i przywrócił możność prowadzenia dalej obrad; wówczas ten, nadąsawszy się dowoli i rad w duszy, iż najwyżsi dostojnicy pokornie go prosili, aby załość czynił ich prośbie. Toż dopiero w mowach posypały się panegiryki na cześć owego posła, który zmiłował się nad ojczyznę, usuwając na bok swą osobistą obrazę, aczkolwiek powinien był surową ponieść karę i wszystkich przeprosić za złośliwe zmarnowanie im czasu.

Gdy w ten sposób wszelkie wybryki posłów uchodziły im bezkarnie, doszło wreszcie do tego, że arbitrowie, siedzący wysoko na ławach, ciskali jabłkami i gruszkami twardemi na posłów perorujących, osobliwie, gdy który prawił brednie. Trafiony w łeb wygolony, mówca wołał na marszałka: «Mości marszałku, protestuję, wobec zniewagi, uczynionej memu charakterowi poselskiemu» i tu pokazywał guz na łbie lub sinięć pod okiem, jako jawny dowód owej zniewagi. Posłowie również domagali się wówczas od marszałka, by ich przez przykładne ukaranie arbitra, zabezpieczył na przyszłość od podobnego afrontu. Niepodobieństwem jednak było wy-

śledzenie winnego, który ciskał tak ostrożnie, aby go nikt nie zauważył, i teraz siedział cicho jak trusia. Więc marszałek, nabiegawszy się po kole poselskiem i nie wyszukawszy winnego, nie mógł nic innego uczynić, jak tylko zwrócić się do obrażonego posła, żądając od niego, aby wskazał osobę winną, a wten czas ukarze ją przykładowie. Z tego wpływała jednak ta korzyść, że poczęstowany w ten sposób poseł więcej się już nie odzywał i głupstw nie plótł. Tym zaś, którzy mądrze przemawiali, taka się zniewaga nie trafiała.

Oprócz ciskania jabłkami, mieli arbitrowie inny jeszcze sposób na lichych mówców, a mianowicie, spychał jeden drugiego z ławy wyższej, ten zaś padając, chwycił się siedzących niżej, wskutek czego, gdy kilku razem spadło na ziemię, czynił się hałas i powstawał śmiech ogólny, który przerywał mowę niefortunnemu posłowi.

Sesje sejmowe zaczynały się pospolicie o godzinie 10-ej rano i trwały bez przerwy cały dzień do zmierzchu, przeto niektórzy przynosili z sobą jedzenie i piwo w butelkach; roznoszono także po izbie jadło: owoce, ciastka, a także piwo musujące, którem, niewprawni po-

sługacze, oblewali nieraz ubranie obok stojących. Senatorowie również siadywali przez cały czas sesji, król tylko przyjeżdżał codzień na krótki czas, poczem wracał do siebie, będąc jednak przygotowanym wrócić, skoro tylko zajdzie potrzeba.

Ceremonja łączenia się obu izb t. j. senatorskiej i poselskiej odbywała się w następujący sposób: posłowie, omówiwszy jakąkolwiek kwestję publiczną, wyprawiali od siebie kilku posłów z relacją o niej do króla i senatu. Tam objaśniali marszałka w. koronnego, z czem przyszli, marszałek zaś oznajmiał to obecnym senatorom; poczem król z senatorem kazał posłów prosić do środka, jeden z nich oznajmiał przed zgromadzonymi, z czem przyszli posłowie; po skończonem wyjaśnieniu sprawy kanclerz, w imieniu króla, i marszałek koronny, w imieniu senatu, odpowiadali, poczem kanclerz mianował po dwóch senatorów z każdej prowincji do izby poselskiej, zapraszając ją, aby się z senatem połączyła. Po połączeniu się obu izb, przemawiał marszałek sejmowy do króla i senatu, kanclerz zaś mu odpowiadał imieniem króla, siłąc się na pochwały jak największe dla marszałka

sejmowego i wszystkich posłów, poczem zapraszał obecnych do pocałowania ręki królewskiej; po ukończeniu tej ostatniej ceremonji, wracali posłowie do swojej izby; na tem kończył się akt połączenia izby senatorskiej z poselską czy to po obraniu marszałka sejmowego, czy też po skonkludowaniu jakiej kwestji przez sejm rozpatrywanej.

Ani król, ani senat nie miał głosu decydującego (*voce activam*), dlatego też w izbie senatorskiej żadnych ustaw nie pisano; całe zaś prawodawstwo, zależne od stanu rycerskiego, w izbie poselskiej było omawiane i rozstrzygane. Tam po prawej stronie od wejścia stał na boku koła poselskiego stolik mały, kratą drewnianą w czworobok otoczony, żeby zabezpieczyć od tłoku; przy tym stoliku siedział sekretarz sejmowy i delegowani do zapisywania konstytucji, nad nimi zaś nieco wyżej była ława, na której zasiadali posłowie ziemi wieluńskiej. Tę prerogatywę dostali oni dlatego, że, jak mówi podanie, raz ich poprzednicy dostrzegli fałsz, wpisany w konstytucji mimowoli, i na to zwrócili uwagę izby, za co w nagrodę otrzymali na wieczne czasy to miejsce, górujące nad piszącymi konstytucję. W da-

wnych bowiem czasach nie było zwyczajem ogłaszać drukiem uchwał sejmowych; wszystkie one były zapisywane tylko i następnie przechowywane w archiwum państwowem. Pierwszy dopiero Stanisław Konarski, zasłużony pedagog wieku XVIII, wszystkie te konstytucje sejmowe, wchodzące w zakres prawodawstwa polskiego, wydobył z ukrycia i ogłosił drukiem w obszernem czterotomowym dziele p. t. *Volumina legum* (tomy praw). Wobec tego więc, że te wszystkie uchwały nie były ogłaszane drukiem, łatwo się do nich mogły wkraść omyłki, gdyż tego, co czytał sekretarz głośno po napisaniu, nie każdy mógł słyszeć wobec krzyku i rozmów w izbie; czytanie zaś napisanej rzeczy przez każdego po kolei posła, zabrałoby zbyt wiele czasu. W senacie, jeżeli jaki senator, lub minister, czynił swoje uwagi nad uchwalonym w izbie poselskiej projektem, to tylko w formie rady, nie zaś nakazu (co w terminologii prawnej łacińskiej zwało się *passive*), prosząc izby poselskiej, aby to, co mu się zdawało niewłaściwym, usunęła, lub też rzecz potrzebną, według jego mniemania, dodała. Takie prośby, popierane nieraz i przez króla, były czasem uwzglę-

dniane, czasem zaś odrzucane, co się częściej zdarzało, ponieważ, ażeby jakakolwiek uchwała była zatwierdzoną i zyskała sankcję prawną, musiała być koniecznie przez wszystkich posłów przyjęta; jeżeli co się nieraz zdarzało, choć jeden tylko poseł sprzeciwił się ogólnej uchwale, wówczas była ona odrzucana; w Polsce bowiem wszelkie kwestje, na sejmikach i sejmach wynikłe, musiały być rozstrzygane nie większością głosów, jak się to praktykuje obecnie wszędzie, lecz jednomyślnością: było to zjawisko w ustawodawstwie polskiem anormalne, które stawało się powodem licznych nadużyć ze strony nieuczciwych najczęściej przekupionych jednostek, które, nie zgadzając się choćby na projekt najzbawienniejszy dla kraju, jednym słowem *veto*, nie dopuszczały jego przejścia dla prywaty, lub w myśl jakiego stronnictwa albo państwa sąsiedniego, któremu, wniesiony na sejm pod obrady projekt nie dogadzał.

Często zdarzało się, iż podczas toczących się obrad sejmowych, gdy wniesiono jaki projekt, przekazywano wpierw jego rozpatrzenie specjalnym komisjom prowincjonalnym, złożonym z obranych w tym celu jednostek z posłów sejm-

wych, sejm zaś cały bywał zalimitowany, czyli zawieszał na pewien czas swoje obrady *in gremio*, t. j. dopóki dany projekt nie będzie należycie rozpatrzony w poszczególnych komisjach, poczem wznawiał swoje sesje i po wysłuchaniu relacji tych komisji, zatwierdzał najczęściej powzięte przez nie uchwały.

W czasie takiej limity sejmowej król z senatorami miał spoczynek, chociaż ci senatorowie, którzy specjalnie interesowali się danym projektem w celu przyjęcia go lub odrzucenia, nie zaniebawiali bywać na sesjach prowincjonalnych, przebiegając od jednej prowincji do drugiej. A chociaż sami zabierać tam głosu nie mogli, czyli poczynać *active*, tak jak i na sejmie w zgromadzeniu ogólnem, to jednak prywatnie jednali sobie zwolenników zapomocą obietnic swej protekcji, przekupstwa, namowy i tym podobnych środków godziwych i niegodziwych, oddziaływując na przyjęcie lub odrzucenie tego projektu.

Takie sesje prowincjonalne odbywały się po klasztorach, gdzie były obszerne refektarze, jak np. u Dominikanów, Bernardynów, Kapucynów, Reformatorów i Karmelitów bosych; jeżeli zaś refektarz nie mógł pomieścić wszystkich o-

bradujących, wówczas obierano inną jaką salę klasztorną, np. biblioteczną, obszerną i wygodną. Po odbytych sesjach prowincjonalnych, na dzień naznaczony, schodzili się znowu wszyscy posłowie na zamek do izby poselskiej, gdzie kwestje, ułożone na sesjach prowincjonalnych, roztrząsano w ogólnem zgromadzeniu i decydowano. Jeżeli zaś sposób rozstrzygnięcia jakiej kwestji, podany przez którąkolwiek prowincję, nie podobał się innym prowincjom i został odrzucony, wówczas podawano inny sposób, przerabiając i modyfikując go dopóty, aż się wszyscy zgodzili na jego przyjęcie.

Magnaci wogóle, a za Augusta III, stanowiący dwie wrogie sobie partie polityczne, oddziaływali stale na przebieg obrad sejmowych zapomocą mnóstwa swych adherentów wśród uboższej szlachty, posłusznej całkowicie ich woli. Jeżeli znalazł się czasem poseł, nie należący do żadnego stronnictwa, nie dający się przekupić lub uwieść pochlebnyim słowom magnata, bywał najczęściej narażony na tysiące rozmaitych przykrości, tembardziej, iż wiedziano, że popełniony na nim gwałt ujdzie bezkarnie, ponieważ nie posiada silnej pro-

tekcji. Taki poseł najczęściej, podczas sesji prowincjonalnych, wolał sobie rozpocząć w stancji swojej lub użyć jakiej rozrywki, niż w zgielku obrad, po całych dniach, a czasem i w nocy trwających, pocić się nad rzeczą, która miała skończyć się niczem, wskutek zerwania sejmku.

Zachodzi tu pytanie, po co właściwie posłowie podejmowali takie trudy, zjeżdżając się na sejm i obradując na nim, skoro wiadano z góry, że będzie on zerwany. Zjeżdżano się po prostu dlatego, iżby pochwalić się swemi końmi, pojazdami i ubiorem i żeby rozerwać się nieco, przyjemnie spędzając czas w gronie hulackim towarzyszków. Jeżeli zaś niektórzy gorliwie i zawzięcie pracowali nad jaką kwestją, to tylko dlatego najczęściej, aby stało się za- dość jakiej partji, która nie traciła jednak nadziei doprowadzenia sejmku do skutku. Partja dworska, jak zapewnia Kitowicz, zawsze wszelkiemi siłami dążyła do tego, aby zakończyć sejm pomyslnie i dokładała w tym celu usilnych starań, ale najczęściej owe starania były paraliżowane przez partję przeciwną t. j. Czartoryskich, którzy zawsze znaleźli powolnego sobie posła i ten w o-

statniej chwili zrywał sejm, nie motywując nawet niczem owego postępku; a ilekroć chciano takiego posła, zrywającego sejm, ściagać jako zdrajcę ojczyzny i przymusić go do wyjaśnienia przyczyn, dla których to uczynił, zawsze znalazł się ktoś wśród panów bardzo mocy, który przeszkodził temu pod pozorem, iż takie ściąganie posła było pogwałceniem wolności, i zawsze go przed odpowiedzialnością zasłonił.

Po każdym zerwaniu sejmku następowało t. zw. *senatus consilium*, na którym zastanawiano się, jakie sprawy należy podać pod obrady sejmku następnego, przyjmowano posłów zagranicznych, dawano inwestyturę książętom kurlandzkiem, a także nominowano senatorów, którzy mieli zostawać przy boku króla, sędziów pogranicznych i jednego biskupa na prezydenta komisji radomskiej. Taka rada senatu trwała pięć dni i odbywała swoje posiedzenia pod przewodnictwem króla.

Jak widzimy z powyższego obrazu szkół, sądownictwa a nadewszystko sposobu sejmowania, Polska za czasów Saskich doszła do największego swego upadku pod każdym względem. Słaby i niedoleżny August III nie umiał po-

lepszyć położenia kraju; zresztą był on obojętny na owo położenie; jedynym jego systemem politycznym było uleganie Rosji, której bagnetom zawdzięczał koronę polską. O bieg spraw politycznych dbał bardzo mało, był człowiekiem ospałym, leniwym, lubiącym nadewszystko spokój. Jedynymi jego namiętnościami było gromadzenie starych malowideł, czemu dziś Saksonia zawdzięcza słynną galerję obrazów drezdeńską, i—polowanie; jeśli dzień był słotny i do łowów nieodpowiedni, król, przebywając w Warszawie, zabawiał się strzelaniem z okien swego pałacu do psów, ściągających zewsząd do Saskiego ogrodu do padłych koni lub bydła, które tam wywożono wówczas. Zdolności politycznych i umysłu energicznego i rzutkiego, jakim odznaczał się jego ojciec August II, nie posiadał; sprawy państwowe nużyły go, to też zwał je na barki swych ministrów: najpierw Sułkowskiego, a potem Henryka Brühla, człowieka niezmiernie sprytnego, karjerowicza chciwego i wielce rozrutnego, który usiłował tylko z Polski wyciągnąć jak najwięcej pieniędzy; król zaś poddawał się biernie polityce Rosji, która nie robiła sobie z Polską żadnej cere-

monji, przeprowadzając swoje wojska podczas wojny z Turcją lub spiesząc na pomoc Austrii, przez terytorjum Rzeczypospolitej, która te wojska musiała podczas ich przemarszu żywić własnym kosztem. Z drugiej strony król pruski otwarcie nasyłał swoich agentów na pograniczny pas Wielkopolski i rabował go, porywając przytem młodzież zdatną do wojska. I to wszystko uchodziło bezkarnie. Obok tych klęsk, natury politycznej, rozpanoszył się, jak widzieliśmy, straszliwy nieład wewnątrz kraju. Ogół szlachecki wysługiwał się magnatom i rad był z tego nieładu, zapewniającego bezkarność, o przyszłości strasznej nie chciał myśleć, zadowolony ze stanu obecnego, który był usprawiedliwiany powszechnym wówczas frazesem: «Polska stoi nierządem», frazesem ongi jeszcze w XVI w. potępionym przez Skargę.

Jednakże w najstraszniejszych tych chwilach ogólnego rozprzężenia możemy już zauważyć pierwsze jasne światelka, świadczące o tem, że jednak opamiętanie przychodzi i zepsucie wśród narodu nie jest powszechnem. Najpierw spostrzegamy pewne ożywienie w ruchu umysłowym: ksiądz zakonu Teaty-

nów Portalupi szerzy filozofię Wolffa, profesora uniwersytetu w Halli, wizytator misjonarski ks. Piotr Śliwicki oczyszcza w seminarjach swego zgromadzenia wykład teologii od scholastyki średniowiecznej, zasłużony biskup krakowski Załuski usiłuje zreformować w duchu postępowym wykłady w akademii krakowskiej, wreszcie ukazuje się jasna postać księdza zakonu Pijarów Stanisława Konarskiego, który nie tylko zakłada szkołę wzorową w Warszawie, ale i pisze obszerny traktat polityczny p. t. «O skutecznym rad sposobie», w którym wykazuje wadliwą organizację rządu i pierwszy śmiało domaga się zniesienia «liberi veto», tego źródła nieładu w rządzie polskim, a tak gorąco bronionego przez ciemną i zacofaną warstwę szlachecką. Jeszcze i przed Konarskim ukazuje się szereg dzieł i broszur politycznych, domagających się reform państwowych, jak np. traktat Jabłonowskiego, wojewody ruskiego, «Skrupuł bez skrupułu», (1730) eks-króla Stanisława Leszczyńskiego, «Głos wolny wolność ubezpieczający» (1733), Stanisława Poniatowskiego, wojewody mazowieckiego, «List szlachcica polskiego» (1740), francuza Cezara Pyrrhys

de Varille, gubernera u ks. Sanguszki, «Compendium politicum», napisany pod wpływem Konarskiego (1760) i t. d. Wszystkie te dzieła nie pozostały bez wpływu na lepsze umysły i powoli przygotowywały grunt do czynnej działalności energiczniejszych jednostek w kraju.

To też pod koniec rządów Augusta III widzimy w Polsce dwa poglądy na sposób zreformowania, a temsamem uratowania kraju od zguby. Jedni, jak np. Konarski, sądzą, że dla przeprowadzenia reform koniecznych trzeba przede wszystkim zreformować szkolnictwo polskie, aby wykształcić w duchu reform młodzież, która wszedłszy potem na arenę działalności politycznej, byłaby zdolną do przeprowadzenia tych reform w rządzie; w tym celu Konarski zakłada swoje słynne «Collegjum nobilium» i nawołuje do reformy szkół podług podanego wzoru przez siebie w całym kraju przez Jezuitów i Pijarów. Drudzy zaś uważają drogę, wytkniętą przez Konarskiego, za długą, pragną natychmiastowej reformy, bo czasu do stracenia niema; ci postanawiają nawiązać stosunki z jakim państwem europejskiem i prosić jego pomocy w tej mierze, aby niesforną i upartą szlachtę

zmusić siłą obcych bagnetów do reform. Do takich ludzi należeli przedewszystkiem Czartoryscy, którzy pragnęli w swej działalności oprzeć się na Rosji, i ich antagoniści Potoccy, Branicey i Radziwił Karol, którzy jasno wytkniętej drogi postępowania nie mieli, pragnąc uwolnić kraj bądźco bądź z pod wpływu Rosji i oprzeć się na Turcji, Szwecji bądź nawet Francji.

Partja «Familji», do której należały rody spokrewnione z Czartoryskimi, jak Poniatowscy, Ogińscy, była mniej liczną od partji Potockich, zwanej republikańską lub patryotyczną, a popularnej wśród tłumu szlacheckiego, u którego znów «Familja» nie miała wielkiego miru; jednakże ta ostatnia była o wiele silniejszą, ponieważ rozporządzała w swej agitacji politycznej dużemi środkami materjalnemi, których głównie mógł dostarczyć August Czartoryski wojewoda ruski, jeden z najbogatszych magnatów w Polsce, posiadający ogromne majątki; przytem na czele swojem miała tęgą głowę polityczną w osobie kanclerza Michała Czartoryskiego, rodzzonego brata ks. Augusta.

Czartoryscy rozumieli dobrze, iż król August III jest zanadto słabym i niedo-

łęznym, by mógł poprzeć energicznie ich politykę, dążącą do przeprowadzenia reform w kraju, mimo to jednak dla otrzymania celniejszych urzędów państwowych dla siebie lub swoich polepczników, aby tem skuteczniej mógł rozwinąć agitację i mieć decydujący wpływ na bieg spraw politycznych, starali się utrzymać z dworem królewskim stosunki jak najściślejsze, zwłaszcza schlebiali i wysługiwali się wszechwładnemu ministrowi Brühlowi, który dzięki wpływom Czartoryskich otrzymał indygenat polski, zatwierdzony wprawdzie nie przez sejm, bo jak wiemy, żaden z nich za Augusta III do skutku nie doszedł, ale przez trybunał piotrkowski. Więc też odwdzięczał się, jak mógł, minister Czartoryskim, oddając do ich dyspozycji najważniejsze urzędy krajowe.

Jednakże takie przyjazne stosunki z dworem nie trwały długo: rychło popsukała je sprawa o ordynację dóbr rozrutmego ks. Sanguszki, któremu Czartoryscy poradzili dla uwolnienia się od długów sprzedaż tych dóbr wbrew prawu ordynackiemu. Ponieważ w rozgłosnej tej w owym czasie sprawie król zajął stanowisko nieprzychylnie wzglę-



dem Czartoryskich, przeto stosunki wzajemne znacznie się napreżyły i Czartoryscy zajęli względem króla stanowisko opozycyjne.

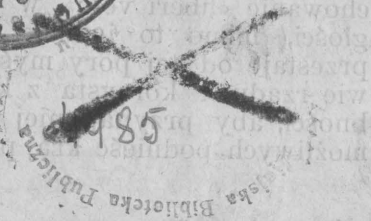
Wówczas dopiero powzięli zamiar dla urzeczywistnienia swych projektów politycznych detronizacji Augusta III i wprowadzenia na tron przy pomocy Rosji syna ks. Augusta Czartoryskiego, ks. Adama, generała ziem podolskich, który byłby powolnym w ich rękach narzędziem. W tym celu zawezwali pomocy Rosji, która natychmiast wysłała im 8,000 żołnierza pod dowództwem Sałtykowa, i ruszyli ze swymi adherentami na trybunał do Piotrkowa, aby tym zarzucić Brühlowi fałszerstwo w wyrobieniu indygenatu polskiego (do czego poprzednio sami przyłożyli rękę) i w ten sposób wszezać zatarg z przeciwnikami politycznymi i obrońcami ministra, aby doprowadzić do zawiązania konfederacji i następnie detronizacji króla. Polityczni przeciwnicy Czartoryskich zjechali również do Piotrkowa, jak hetman Branicki i Franciszek Salezy Potocki, wojewoda kijowski, teść starosty warszawskiego, syna Brühla z zamiarem energicznego wystąpienia przeciw «Familji»; gotowała się więc wojna

domowa, w której wzięłaby była udział niechybnie wszystka szlachta, stojąca po stronie jednej lub drugiej partji, gdy wtem przyszła nagle wiadomość z Dreżna o śmierci Augusta III.

To ułatwiło znacznie akcję Czartoryskim, którzy na zwołanym następnie sejmie konwokacyjnym przy pomocy wpływów rosyjskich osiągnęli stanowczą przewagę nad swymi przeciwnikami i zdołali część przynajmniej reform naglących przeprowadzić; wprowadzić znieść «liberi veto» nie mogli z powodu stanowczego protestu rezydenta rosyjskiego Kajserlinga, w każdym jednak razie znacznie jego siłę potrafili uszczuplić.

Wszakże zabiegi Czartoryskich, ujawnione na konwokacji około reformy gruntownej rządu i temsamem wzmożenia organizmu państwowego, spełzły na niczem na początku panowania Stanisława Augusta, a to wskutek opozycji Rosji, w której interesie leżało zachowanie «liberi veto» w całej rozciągłości, mimo to jednak szlachta nie przestaje od tej pory myśleć o poprawie rządu i korzysta z każdej sposobności, aby przynajmniej w granicach możliwych podnieść kraj pod względem

oświaty i szkolnictwa przez utworzenie komisji edukacyjnej, pod względem rozwoju handlu i przemysłu, przez zakładanie różnych fabryk i bicie kanałów, łączących Wisłę i Niemen z Dnieprem, aż wreszcie, zdoławszy na chwilę uwolnić się z pod wpływu rosyjskiego, wydaje konstytucję 3 maja, to najpiękniejsze świadectwo żywotności i zdolności politycznej narodu.



94(438)

Kitowicz  
Za Sasów

11397